

PILKON



PILSKI KONWENT GIER I FANTASTYKI

przedstawia

Urodziny
Lovecrafta

Spis treści

| | |
|--|----|
| Dagmara Adwentowska: Pod wodą | 4 |
| Maciej Ciembroniewicz: Ucieczka z krainy Uns | 10 |
| Robert Jurszo: Zniknięcie doktora Kursta | 16 |
| Emil Zawadzki: Anno Domini 3023 | 22 |
| Agnieszka Kwiatkowska: Przyjaciółka | 28 |
| Artur Michalski: Szepty z otchłani..... | 33 |
| Artur Grzelak: Mgły nad Olmstead | 38 |
| Krystian Kieś: Horror na poddaszu | 44 |
| Wojciech Konieczny: Miasto nienasycone..... | 50 |
| Maciej Nadolny: Upiór z horyzontu zdarzeń..... | 55 |

Tytuł. Pilkon. Pilski konwent gier i fantastyki przedstawia: Urodziny Lovecrafta

Okładka: Pilkon

Edycja okładki: Arkadiusz „Pallek” Rachfał

Przygotowanie: Arkadiusz „Pallek” Rachfał

Skład: Arkadiusz „Pallek” Rachfał

ISBN 978-83-970942-0-8

*Najstarszym i najsilniejszym uczuciem znanym ludzkości jest strach,
a najstarszym i najsilniejszym rodzajem strachu jest strach przed nieznanym.*

H.P. Lovecraft

Na szczęście znalazła się grupa śmiazków na tyle szalonych, by przełamać swój strach i podzielić się swoimi wizjami. Wizjami, których nie powstydziliby się sam Samotnik z Providence.

Dzięki temu powstała niniejsza antologia. Zebraliśmy w niej, najlepszym zdaniem jury, prace z konkursu literackiego Urodziny Lovecrafta, którego finał miał miejsce, a jakże - 20.08.2023r. podczas Pilkonu – pilskiego konwentu gier i fantastyki.

Poziom wszystkich prac, ich warsztat oraz zaskakująca pomysłowość są dowodem, że literatura grozy, niczym pradawny Cthulhu, nie umarła i czeka aby ponownie zapanować nad światem!

Mam nadzieję, że ta lektura zapewni Tobie tyle samo frajdy, co nam.

Zapraszam do zapoznania się z poniższym zbiorem i do zobaczenia w następnej edycji!

Arkadiusz „Pallek” Rachwał



Dagmara Adwentowska: Pod wodą

Rzeka dawała zarobek, gdyby nie ona, pies z kulawą nogą by się tu nie osiedlił. Tak gadał wiekowy Barnim, najstarszy w osadzie. Podobno pamiętał, jak jawor pośrodku wioski, pod którym się mężczyźni spotykali, by radzić i pić, chudym był. Ponoć pamiętał i to, jak do Piły przybyli rycerze w płaszczach z czerwonymi krzyżami. Opowiadał o tym z rzadka, nigdy na trzeźwo i nigdy konkretnie. Klął przy tym zawsze.

– A żeby ich cholera wydusiła, paniątka zasrane – zaczynał zawsze mamrotać nad drugim kuflem piwa. – Żeby ich piorun trzasnął, razem z ich diabelskim młynem.

Podnosił wtedy zawsze wyblakłe oczy na obracające się łopatki wielkiego koła napędzanego nurtem potoku młyńskiego, który rycerze według dostarczonego planu kazali wykopać za czasów, gdy Barnim był pacholęciem. I na tartak za nim wzniesiony, którego piły poruszała siła wody. Podług panów naszych poleceń wszyscy mężczyźni dzień za dniem trudzili się tam, okorowując i tnąc wielkie pnie.

– Ażebyście zdechli wszyscy w męczarniach – cedził Barnim z żarliwą nienawiścią po paru głębszych, a jeśli napił się jeszcze, pluł jadem i przeklinał dzień, w którym Piłę wraz z nami darowano templariuszom z Czaplinka. Po prawdzie to rzadko kiedy rozkręcał się na dobre. Zazwyczaj wnuczka jego, Nieradka, wpadała pod jawor jak piorun kulisty. Dziadkowi głowę zmywała, że trunek mu rozum mąci i pomstę panów swoim gadaniem ściągnie na nas wszystkich. Wyciągała starca siłą spomiędzy nie mniej spitych cieśli i drwali, na poły prowadząc, na poły wlokąc, ciągnęła ku chałupie. Tam go zamykała, póki nie wytrzeźwiał.

A jam się z Barninem zawsze zgadzał. Z rzeką płynął strach. Zdaje się, iż nas on nie tykał, myśmy byli tutejsi i przywykli. Lecz w obcych i przyjezdnych nasze



porządki budziły niepokój i trwogę. Pamiętam, jak obsługiwałem pod jaworem kupców, co do tartaku po deski i krokwie zjechali. Dzbany z piwem i leszcze pieczone porozstawiałem przed gośćmi na ławach i już wrócić miałem po zieleninę, gdy mnie jeden z mężczyzn znienacka za ramię ucapił.

– Czymże nas tu goście? Otruć nas chcecie?

Potrząsnąłem głową w panice, próbując się wyrwać.

– Gdzieżbym śmiał? Toć to świeże leszcze, dzisiaj o świcie w potoku młyńskim przede tartakiem złowione! – próbowałem się bronić, a wtedy kupiec odepchnął mnie, aż się wywróciłem między ławy.

– Kpisz sobie chłopcze? – syknął i wysypał mi na pierś zawartość misy, pieczone leszcze razem z kaszą i krążkami cebuli. – Chyba prosto z łędźwi diabła narybek wypłynął, z którego te potwory porosły.

Naplul mi jeszcze z obrzydzeniem pod nogi. Krzyczał i miotał przekleństwa, ale w jego oczach widziałem strach. Gdy zerkał na ryby poniewierające się w pyle, a potem gdy rzucił spojrzeniem na potok młyński i pracujące koło napędzające tartak. Kupcy odjechali pospiesznie, szepcząc między sobą o czarach, potworach i magii, a ja wybierałem wzgardzone ryby, opłukałem je w rzece i zaniósłem do Barnima. zaryglowane

– Czemuż on w gniew wpadł, dziadku Barnimie? – spytałem, gdy w milczeniu oglądał leszcze, patykiem je przewracał i dźgał pokryte przypaloną łuską boki. – Czego bał się? zaryglowane

– Zielony jak szczawik jesteś, Radoszku – westchnął, kraj misy chwycił sękatą dłonią i wywalił ryby na polepę. Z kąta wyprysnęły dwa koty, ale tylko powąchały rzucone kęski. Żaden nie zagłębił w rybach zębów.

– Nie pij wody, której koń nie wypije. Nie jedz mięsa, którego kot nie tknie. Od lat nie jadłem ryb z naszej rzeki. Chyba że sam pójde i sporo powyżej młyna złapię co – rzekł Barnim cichym głosem, jakby bał się, że zaraz wpadnie Nieradka



i znów zamknie go w szopie za gadanie panom wbrew. Tym razem jednakowoż na trzeźwo.

– Ale czemu? – drążyłem z uporem.

– Sam idź rybaczyć powyżej młyna, to obaczysz. Przed Pilą, w górze nurtu nie złapiesz ani takich pokrak – szturchnął końcem kostura leszcze z wielką głową, z której patrzyły martwo wyłupiaste, upieczone oczy. Ciało ryby wydawało się zbyt małe i chude w stosunku do tego obrzmiałego łba, lecz przecież wszystkie ryby takie były. – Ani szczupaków z dwiema głowami. Znajdziesz za to raki, których u nas już nie uświadczysz. Rak ucieka z brudnej wody.

– Jak to „już”? – ciągnąłem go za język. – Czyli wcześniej były?

– Wcześniej – mruknął Barnim i westchnął. – Kiedym w twoim wieku był, raki dziesiątkami się po trzcinach lęły, a ryby u nas wyglądały jako i wszędzie indziej. Jeno potem zjechali templariusze, zbudowali tartak i zatruli wodę. Tę wodę, którą wszyscy tu piją.

– Oprócz was, dziadku Barnimie – zdałem sobie sprawę.

– A tak. Piwo jest bezpieczne. Bo je robią w osadzie w górze nurtu – odparł zaskakująco trzeźwo i nagle przymknął oczy, zaczął pochrapywać. Do chaty weszła Nieradka i obrzuciła nas podejrzliwym spojrzeniem.

Wtedy zrozumiałem, że nie jesteśmy wolni od strachu, co płynie z rzeką. I nas on oblewa i pożera. Ja, podrzutek zostawiony na progu siedziby panów naszych i z ich łaski oddany na wychowanie do podległej im nadrzecznej osady obawiałem się wody i wyciąganych z niej pokracznych ryb. Barnim, co wiele lat przeżył, najstarszy w osadzie – bał się wnuczki własnej. I niebawem pojąłem dlaczego.

Nieradka już kilka razy spodziewała się dzieciaka. Jednakowoż zawsze kałdun jej się kurczył, a nigdzie nie widziałem owoców jej brzemienności. Przed chatą, którą zamieszkiwała z Barnimem, nie baraszkowała dziatwa, ciszę mąciło



pluskanie rzeki i szelest trzciny, lecz nie szczebiot czy gaworzenie pacholąt. Kołyska od lat stała w drewnitni, rozeschła, popękana i pokryta pajęczyną. A jednak co rok, czasem dwa wnuczka Barnima okrąglą ją niby księżyc w pełni, żywot jej wzbierał pod ciężarem nowego istnienia. Zapytałem raz tylko.

– Dziadku Barnimie, a gdzież to pacholęta Nieradkowe?

– Nie interesuj się, Radosz – burknął i wąsy w piwie zanurzył.

Nie zapytałem więcej, bom pomyślał, że przy porodzie pomarły, i że tematu strat bolesnych starzec poruszać nie chce. W noc, gdy Nieradka znów porodziła, pojąłem, że są nieszczęścia gorsze od śmierci.

Zległa zaraz po świtaniu. Jak tylko plotka poszła, zlazły się baby do jej chałupy pomagać i Barnima precz pogoniły. Zasiadł pod jaworem i pić począł, jak zwykle, choć może inaczej niż zwykle – bo szybciej i więcej. Koło południa zsunął się bez ducha pod ławę, wcześniej napomstował się i naklął na panów naszych, w czym mu jak raz złożona niemocą wnuczka przeszkodzić nie mogła. Leżał tak w skwarze i jeszcze by ducha wyzionął, tom go pod ramię wziął i zatachałem do szopy przy tartaku, gdzie jako sierota i podrzutek sypiałem i trzymałem swój chudopacholski dobytek. Leżał Barnim na mym barłogu, jęczał i postękiwał w pijackim widzie, aż się w końcu po zmroku ocknął i wydusił przez wysuszone, przywędnięte ze starości wargi:

– Pić, chłopcze. Wody mnie daj.

Masz ci los. Pomny, że Barnim z potoku młyńskiego, ani rzeki przy osadzie nie pija, wziąłem bukłak i poczłapałem w górę nurtu. Zeszło mi na tej wyprawie niemało czasu i gdy wracałem, nad głową miałem już sierp księżycy i usiane miriadami gwiazd niebo.

To w ich świetle ujrzałem Nieradkę. Stała na końcu krótkiego pomostu, co się wrzynał w potok młyński. W ramionach trzymała małe zawiniątko. Z środka dobiegało ni to kwilenie, ni to skrzeczenie, jakby się jej dzieciątko nie nauczyło jeszcze, jak się porządnie drzeć należy. Pomyślałem, że co za szczęście



i błogosławieństwo, wreszcie się doczekała zdrowego potomka, a Barnim prawnuka, co żyć będzie dłużej niż godzin parę. A wtedy ona zakolebała się wprzód i w tył, z palców na pięty i z powrotem. Przechyliła się nagle i cisnęła zakutane w becik dzieciątko w odmęty ciemnej wody.

– Jezus Maria! – wrzasnąłem. Bukłak cisnąłem i pobiegłem jak wariat. Moje bose stopy zadudniły na deskach pomostu. Minąłem osłupiałą Nieradkę i na główkę skoczyłem w ciemność.

Chłodna woda zamknęła się nade mną. Ledwie co widziałem, pasma wodorostów i ławice bąbelków właczanych przez łopatki w toń. Lecz pewien jestem –za kołem młyńskim coś się poruszyło. Coś dużego i wijącego się niczym wąż. Spojrzało na mnie oko starsze niż świat.

Całe powietrze uszło mi z płuc ze strachu. Nogami wierzgnąłem desperacko, by wrócić na powierzchnię. O dziecku zapomniałem w tej chwili ze szczętem i zaiste, przypadek to być jeno, że gdy siekłem w panice ciemne odmęty, byle się znaleźć jak najdalej, moje rozczapierzone palce natrafiły i zacisnęły się na tkaninie, w którą Nieradka zawinęła swe nieszczęsne dziecię.

Dopiero, gdym na brzeg wypęzł i odwinąłem je, pojąłem, czemu cisnęła je w toń. Noworodek był pokraką, tak jak i ryby łowione w młyńskim potoku. Głowę miał zbyt dużą w stosunku do reszty ciała, bezrzęse ślepa o podwójnej powiece i szalonym spojrzeniu, łuskowaty ogon pomiędzy nogami i błonę pławną między palcami pulchnych rączek. Za jego uszami rozwierały się raz po raz krwawe szczeliny, przywodzące na myśl skrzela.

– Coś ty narobił, durny bękarcie! Oddawaj go! – wrzeszczała Nieradka. – Ty podrzutku bez krzty rozumu?

Dopadła mnie i szarpać zaczęła, zdążyła raz i drugi po pysku pięścią mnie strzelić, gdy nagle oczy w słup postawiła i padła bez ducha twarzą na piasek. Barnim wsparł się na kosturze, którym ogłuszył własną wnuczkę.



– Radosz, chłopcze, uciekaj – westchnął. – Ona obudzi się rychło. Nie zapomni ci tego. Nie wybaczy, zabije.

– Tam w toni... – wydukałem – ...za kołem...

– Wiem – uciał. – To jej chłop. I córki mojej takż. Panowie skarb jakowys przywieźli z dalekiego świata. Zakopali go za kołem młyńskim. I postawili przy nim strażnika.

Bełkotałem, że coś zrobić trzeba, że to potwór i że Nieradka potwora porodziła, że panowie nasi na żer nieczystym, piekielnym stworom nas tu hodują.

– Nikt ci nie uwierzy – sarknął. – Jedyne, co możesz ocalić, to swój żywot.

– A ty? – szepnąłem, patrząc, jak podnosi skrzeczącego noworodka i przytula go do wychudłej piersi.

– Cóż ja? Stary jestem. To mój dom, a tam, w potoku młyńskim, wnukowie i prawnukowie moi. To też i moja krew.

Na skraju lasu odwróciłem się jeszcze ostatni raz. Nieradka zaczynała się już ruszać ślamazarnie, a stary Barnim stanął na końcu pomostu i rzucił dziecko w wodę, gdzie jego nieludzki ojciec strzegł skarbu naszych rycerskich panów.



Maciej Ciembroniewicz: Ucieczka z krainy Uns

Odgłos szybkich, nieregularnych kroków rozbrzmiewał na kamiennym bruku, rezonując echem wśród megalitycznych budowli. Inne dźwięki przygasły, ustąpiły miejsca natrętnemu intruzowi. Upiorne jęki i monotonne śpiewy ucichły i nasłuchiwały w oczekiwaniu. Pojawił się oddech, gwałtowny, dychawiczny. Zaraz za nim z mroku wyłonił się mężczyzna. Biegł wzdłuż kamiennej ściany. Przystawał, oglądał się za siebie i ruszał dalej. Zwalniał do truchtu, potem przyspieszał. Biegł bezkresną aleją wyłożoną czarnym, połyskującym brukiem. Po obu stronach pięły się monstrualne gmaszyska sięgające sklepienia. Spoglądały z wysoka kamiennymi twarzami na maleńką sylwetkę. Samym swoim istnieniem przeczyły wszelkim prawom. Prawom, które znał mężczyzna, a które tu były zupełnie obce.

Biegający skrył się w niewielkim załomie. Pochylił się i ciężko oddychał. Szara drelichowa bluza przepocona na plecach, przykleiła się do ciała. Potargane, długie włosy spływały na niechlujną, brodatą twarz. Lewą ręką przyciskał do piersi wielkie tomisko. Gruba księga oprawiona w okładziny z czarnego dębu była powodem, dla którego zawędrował tak daleko. Wiedza zawarta na jej plugawych kartach porażała podłością i bezwzględną degeneracją. Była kluczem do zagłady, do unicestwienia całych gatunków, eksterminacji miriadów gwiazd i planet. Była kluczem do nicości.

Mężczyzna uspokoił oddech i parsknął cichym, urywanym śmiechem. Gdyby jego prześladowcy zdawali sobie sprawę z tego, co mieli w swoich łapach... W swoich mackach – poprawił się w myślach i ponownie roześmiał. Wyglądnięt z za załomu. Poznawał okolicę. Już raz tędy szedł, w przeciwnym kierunku. Złapali go wtedy, uwięzili i cisnęli w otchłań szaleństwa. Wydostał się. Długo to trwało, ale upływ czasu był dla niego jedynie odległym pojęciem. Zdobył to, po co przyszedł i teraz musiał się stąd jedynie wydostać. Znał drogę i nie był



bezbronny. Uniósł prawą rękę do czoła i nadgarstkiem otarł pot. W mroku pistolet załśnił metalicznie.

Coś zawyło w oddali. Modulowany skowyt zawibrował w powietrzu i poniósł się między monolitami. Z prawej odpowiedział mu drugi, znacznie bliższy. Nawoływały się, przekazywały informacje. Nie rozumiał tego języka, ale dotarła do niego groza w nim zawarta. Włosy zjeżyły mu się na karku, jęknął cicho i rzucił się do ucieczki. Szybko, szybko, jeszcze jeden załom. Potem w lewo. Wąska szczelina. Zwolnił. Ledwo łapał oddech. W oddali wyło.

Wypadł na szeroki trakt. Zawahał się. Doskonale pamiętał tę wielowymiarową arterię jakże sprzeczną z układem euklidesowym. Kolumny zwieńczone kulami nieziemskich świateł pulsowały, wyginały rzeczywistość falami krzyczących fotonów. Wabiły go niczym ćmę i czekały, aż podejdzie na tyle blisko, żeby smagnąć go promieniem i odesłać w nicość. Opanował wymioty i pobiegł dalej. Trzymał się blisko krawędzi, unikał mieniących się świateł. Cała aleja zdawała się kołysać. Kamienne ściany przybierały formy sinusoidalne, to zbliżając się do siebie, to oddalając. Dyszał wściekle, biegnąc pod górę, by za moment runąć głową w dół na świeżo utworzonej pochyłości. Rzucalo go na boki. Raz prawie wpadł w krąg światła, a kilka razy zdawało mu się, że biegnie głową w dół. Skoncentrował całą swoją wolę na odległym punkcie, wyłączył inne zmysły i po prostu biegł.

Jest! Zakrzyknął w myślach. Brama. Wąski, ledwo widoczny kamienny portal tkwił pomiędzy budowlami po drugiej stronie alei. Musiał się tam przedostać. Oparł się plecami o mur, sapał i rozglądał się dookoła. Pościg został z tyłu. Nie słyszał na razie tego straszliwego zawodzenia. Za to teraz w powietrzu unosił się mroczny, jednostajny zaśpiew. Dreszcz przeszedł mu po plecach na myśl o istotach, które mogłyby wydawać takie dźwięki. Odetchnął jeszcze raz. Skupił się na bramie. W ruchach otaczającej go przestrzeni usiłował odnaleźć jakąś regułę, jakąś drobinę powtarzalności. Nic z tego. Cykl mógł trwać miliardy lat, a tak długo nie mógł czekać. Poprawił księgę, zachichotał i wpadł między światła. Instynktownie wybrał doskonały moment. Przeciwna krawędź była blisko,



a przestrzeń stłamszona między dwiema ścianami rozepchała blask na boki. W biegu roześmiał się spazmatycznie. Coś warknęło i w głębi alei zabłyśły złowrogo ślepie. Mężczyzna potknął się i upadł na kolano. W panice o mało nie upuścił książki. Stwór przypominający wielkiego żuka ruszył na niego, wydając przeraźliwy wizg. Klęcząc, poderwał broń. Strzelił. Trzy, cztery razy. Trafił. Jedno z oczu zgasło, a śmiertelnie ranna bestia zatoczyła się w bok i trzaskiem pękającej chityny wyrznęła w kolumnę.

Mężczyzna zerwał się. Z przerażeniem spostrzegł, że brama zaczęła się oddalać. Jęknął. Pulsujące światło było tuż-tuż, odcinało drogę. Niewiele myśląc, strzelił. Świetlista kula wieńcząca kolumnę rozbłysła tysiącem drobinek, które rozproszyły się w nicości. Ha! Wrzasnął tryumfalnie. Ruszył przez ciemną wyrwę i wpadł w bramę. Już blisko... Dyszał. Coś wypełzło z ciemności, wysunęło oślizgłą mackę w jego kierunku. Strzelił, nie zwalniając. Przeskoczył drgające truchło i pobiegł dalej.

Znalazł się na ogromnym placu sięgającym granic horyzontu. Kamienne kolumny rozrzucone chaotycznie wznosiły się w górę i nikały w mroku, wspierając sklepienie. Gdzieś, na krańcach przestrzeni, drgały niczym fatamorgana widmowe kształty monstrualnych budowli. Mężczyzna ruszył truchtem. Oszczędzał oddech. Kuło go w piesiach i szumiało w uszach.

Postać, która wyszła zza jednej z kolumn, tak bardzo przypominała człowieka, że aż przystanął. Dopiero po chwili spostrzegł łuski na jego ciele i szeroki, błóżnierczy uśmiech. Istota rozłożyła szeroko ramiona, chcąc go pochwycić, a usta wypowiedziały zaklęcie.

— Iszol velünk testvé...

Nie dokończył. Mężczyzna strzelił mu dwa razy w twarz. Pozostałe stwory, które teraz dopiero dostrzegł, rozbiegły się z wrzaskiem. Strzelił jeszcze raz, na postrach i pobiegł dalej. Znowu przyspieszył. W oddali słyszał zawodzenie pościgu. Dyszał ciężko, zaczynało mu brakować tchu. Jeszcze tylko ten szaleńczy ogród pełen koszmarnie powykręcanych roślin. Gdy biegł aleją, smagały mrok



swoimi ohydnyymi pędami. Szumiały wrzaskliwie, jakby wzywając pomocy. Nie pochwyciły go jednak. Nie zadusiły mackami i nie rozszarpały ostrymi jak sztylety kolcami.

Już widział w oddali most. Szeroka droga ginęła między kamiennymi podporami, a dalej był jego dom. Była wolność i spokój, którego tak potrzebował. Świadomość tego, że unosząc to koszarne dzieło, ratuje wszechświat, dodała mu sił. Mimo bólu w piersiach, mimo ognia ogarniającego mięśnie, przyspieszył. Wbiegł między pierwsze filary i wtedy to poczuł. Najpierw poczuł, a dopiero potem usłyszał. Wibrujący dźwięk dochodzący z trzewi ziemi zatrzęsł przęsłem. Powoli, bardzo powoli przerodził się w ogłuszającą lawinę toczących się po zboczu głazów. Mężczyzna zachwiał się. Był już w połowie mostu, gdy gigantyczna stopa wyglądająca jak przerośnięta kolumna, z głuchym tąpnięciem, pojawiła się na drugim końcu. Uniósł wzrok. W górze rozwarła się szkaradna paszcza. Zaczął strzelać. Naciskał spust tak długo, aż suchy trzask iglicy uświadomił mu koniec. Nie! Nie mogą dostać księgi! To byłby koniec wszystkiego!

Portal – przyszło mu nagle na myśl. Jedyna nadzieja w portalu. Nie wiadomo gdzie trafi, ale wszędzie będzie lepiej niż tu. Mięsta macka smagnęła powietrze w miejscu, gdzie stał przed chwilą, ale on już przesadził barierkę. W dole spokojnym błękitem emanował wirujący krąg światła. Przywodził na myśl barwę nieba nad jego rodzinnym domem. Skoczył. Lecąc, przypomniał sobie dzieciństwo, beztroskie lata spędzone na górskich wędrówkach, pierwszy rejs statkiem. Potem studia i wyprawy badawcze. I wreszcie ta nieszczęsna ekspedycja. Krzyknął, a potem ogarnęła go nicość.

Inspektor Patrick O'Riley opierał się o barierkę mostu. Znudzonym wzrokiem przyglądał się pracy ludzi na dole. Wschodzące słońce w groteskowy sposób wydłużało ich cienie. Koroner pochylał się nad ciałem, a dwóch śledczych



kręciło się po okolicy. O’Riley był zbyt leniwy, żeby pofatygować się na dół. Zresztą młody Jenkins już biegł do niego z raportem.

— Hej, Pat... Pat... słuchaj — wydyszał piegowaty młodzieniec. — To ten gość. Ten, co nawiał w nocy ze szpitala psychiatrycznego. Jak mu tam...

Chłopak zaglądnął do notesu.

— A... Mam. Daniel Harding. Doktor Daniel Harding — dodał z naciskiem na słowo „doktor”. — Udusił pielęgniarkę i kijem od miotły zatłukł ochroniarza.

Zabrał mu broń. Colta 1911. Taki sam znalezione tu, na moście.

— Hmm — mruknął O’Riley.

— Po drodze rozwalił tego Węgra na placu Konstytucji. Jedna z towarzyszek zastrzelonego dokładnie opisała napastnika. Tak samo pan Ferguson, którego samochód został ostrzelany na Krzywej. Nie widział twarzy, ale zapamiętał szary drelich. A... No i jeszcze w zaułku, między Krzywą a placem znalezione zwłoki bezdomnego. Zdaje się, że to też robota tego świra.

— No tak — westchnął starszy policjant. — Będziemy musieli porozmawiać z dyrekcją szpitala. Może mają więcej takich psycholi.

— Wiesz. On podobno nie był niebezpieczny. Zamknęli go w ośrodku dwa lata temu, gdy wrócił z jakiejś ekspedycji. Bredził coś od rzeczy o potworach z kosmosu i księdze. Patrz, to znalezione przy zwłokach.

O’Riley wziął do ręki książkę i przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Karol Darwin „O powstawaniu gatunków”. Policjant pokręcił głową.

— Kto znalazł ciało?

— Robotnicy z Zarządu Dróg. — Młodzieniec skinął głową w stronę drugiego końca mostu, gdzie stało kilku mężczyzn w roboczych strojach.

— Świetnie — podsumował O’Riley. — Czyli sprawa zamknięta i to jeszcze przed śniadaniem. Dobra robota.



Spokojnym krokiem ruszyli w stronę miasta. Za ich plecami czwórka robotników stała skonsternowana i wpatrywała się w wielkie zagłębienie w asfalcie. Miało regularny, owalny kształt o średnicy kilkunastu stóp i było głębokie prawie na stopę.

— Jasna cholera — zaklął jeden. — Nie ma dnia, żeby coś nie spadło z kosmosu.

*** **



Robert Jurszo: Zniknięcie doktora Kursta

Droga siostró!

Minął już rok, odkąd zaginął dziadek Edward. Choć trafniej byłoby napisać: zniknął, bo to chyba najtrafniejsze określenie na to, co się stało. Jak bowiem wytłumaczyć, że nie było go w zaryglowanym od środka mieszkaniu, z którego, jak wiemy, nie wychodził od wielu dni?

W tamtym czasie był już poważnie chory. Czas upływał mu na leżeniu w łóżku i lekturach. Zapadał się w sobie i choć lekarze nie potrafili dociec przyczyn jego coraz gorszego stanu, to jestem prawie pewien, że macki choroby duszącej jego wątłe ciało wychodziły z jego umysłu, który, rok po roku ogarniała coraz głębsza ciemność. Nigdy ci o tych przypuszczeniach nie wspominałem, ale chyba czas najwyższy to zrobić.

Zależy nam na jak najszybszej sprzedaży nieruchomości, by w ten sposób symbolicznie domknąć ból po stracie dziadka Edwarda. Dlatego raz jeszcze podjąłem próbę znalezienia w jego mieszkaniu jakiejś wskazówki, która pozwoliłaby rozwiązać zagadkę. I, jak sądzę, udało mi się to. Ale po kolei.

Pamiętasz jak bardzo lubiliśmy się bawić w bibliotece dziadka? Nasze radosne krzyki i gonitwy w tym miejscu zawsze go irytowały, jakby kalały świętą ciszę tysięcy zakurzonych woluminów, do których miał niemal nabożny stosunek. Gdy stałem się starszy, zainteresowały mnie wnętrza tych oprawionych w wytartą skórę tomów. Choć nie rozumiałem języków, w jakich zostały napisane, to pamiętam ekscytację, jaka towarzyszyła mi, gdy patrzyłem na wypełniające je ilustracje przedziwnych istot i budowli. Wyjątkowo dobrze pamiętam jedną, z groteskowym galaretowatym stworem, z którego rozlazłego korpusu wyłaniały się niby-macki oplatające splekane filary czegoś, co może i mogłoby uchodzić za archaiczną świątynię, gdyby tylko jej proporcje nie gwałciły reguł euklidesowej geometrii. Z czasem uznałem to wszystko za wytwór



nie do końca zdrowej wyobraźni. Jednak przedstawienia tych wszystkich cudaczných istot popchnęły moją ciekawość ku istniejącym stworzeniom i tak zostałem zoologiem.

Dziadka Edwarda zawsze pasjonowały mity. Jego wiedza nie ograniczała się jedynie do fantastycznych opowieści z Grecji i Rzymu, czy barbarzyńskiej Europy. Dobrze orientował się również w starodawnych historiach z Egiptu, Arabii, Chin, Japonii i innych odległych miejsc.

Widział w mitach zbiorową opowieść ludzkości, snutą od czasów, gdy przodkowie naszego rodzaju przestali być małpoludami a stali się rozumnymi istotami, zdolnymi do artykułowanej mowy, a więc i do opowiadania historii. Dziadek przez lata wierzył, że z mitów da się odczytać uniwersalne przesłanie, które uczyni ludzkie życie szczęśliwszym. Ale stopniowo coś zaczęło się w nim zmieniać. Coś, co mnie przeraziło i, ostatecznie, od niego oddaliło.

Pamiętam dobrze ten wieczór. Była zima 1908 roku, a ja byłem tuż przed rozpoczęciem studiów przyrodniczych. Pokryte śniegiem ulice Stettina pochłonęła ciemność, punktowo tylko rozpraszana przez mdłe światło gazowych latarni. „Chciałbym porozmawiać z tobą o czymś ważnym” - powiedział i zaprowadził mnie do swojej biblioteki, w której bywałem coraz rzadziej, przedkładając nad jej zbiory pełne kolorowych rycin ptaków i owadów albumy, które pochłaniałem w Stadtbibliothek. Dziadek Edward zaczął mówić, że eksploracja mitologicznych głębin ludzkości zaprowadziła go nie tam, gdzie się spodziewał. Przekonywał, że porównując ze sobą mity różnych kultur odkrył, że w wielu z nich istnieją podania o przerażających istotach przybyłych eony temu z odległych gwiazdnych przestrzeni. Część z nich zaległa w morskich odmętach, jak starotestamentowy Lewiatan. Inne spoczęły w lodzie, jak rasa wodnych humanoidów znanych z inuickich opowieści jako Qalupalik. W okultystycznych dziełkach, od których pękały pułki jego biblioteki, wyczytał, że część autorów nazywała je Wielkimi Przedwiecznymi a innym razem Starszymi Istotami. I, jak tłumaczył, choć te kosmiczne bestie trwały w uśpieniu, to w każdej chwili mogły się obudzić, niosąc rodzajowi ludzkiemu zagładę.



Słuchałem tego wszystkiego w narastającym przeświadczeniu, że lata ślęczenia nad opasłymi księgami zepsuły mojemu dziadkowi nie tylko oczy, ale i umysł. Kiedy zaklinał mnie, bym porzucił studia biologiczne i razem z nim poświęcił się zgłębianiu mrocznych tajemnic owych pradawnych kreatur w celu ratowania ludzkości, to po prostu wyszedłem. Od tej chwili wyrósł między nami mur, którego nigdy już nie udało nam się zburzyć.

Wróćmy jednak do moich poszukiwań w mieszkaniu dziadka. Buszowanie w bibliotece nie naprowadziło mnie na żaden trop, więc postanowiłem rozejrzeć się po gabinecie. Przez chwilę wyobraźnią zobaczyłem dziadka znowu: siwego, przygarbionego, w spłowiałym i wytartym blezerze, ze skupionym spojrzeniem utkwionym w jakimś opasłym tomiszczu. Chwilę później obraz w mojej głowie rozmył się, a przed moimi oczami ostał się tylko stary biurowy fotel stojący za zakurzonym dębowym biurkiem. Ale w pokoju było coś jeszcze, czemu wcześniej nie poświęciłem należytej uwagi, gdy po zaginięciu dziadka kilkakrotnie oglądałem mieszkanie: oparty o ścianę, raczej wąski, choć niemal dorównujący mi wysokością obraz.

Przysunąłem krzesło i usiadłem, by lepiej przyjrzeć się malowidłu. Nie było piękne, nazwałbym je raczej interesującym, choć i to określenie nie oddaje pełni moich wrażeń. Było w tym coś hipnotycznego, co nie pozwalało mi oderwać wzroku od płótna, co sprawiało, że chciałem patrzeć i patrzeć bez końca. Nie potrafiłem przyporządkować obrazu do żadnej epoki i żadnego znanego mi stylu malarskiego. Pewne było tylko to, że niczego podobnego wcześniej nie widziałem.

Malowidło było pejzażem, choć nie sędzę, by gdziekolwiek na naszej planecie można było zetknąć się z krajobrazem podobnym do tego, który przedstawiało. W połowie wysokości płótno przecinała linia horyzontu, na której majaczyło coś, co z grubsza przypominało góry. Nie były to jednak spiczaste szczyty, raczej gruzowisko czarnych bloków o skomplikowanych geometrycznie bryłach.



Do pasma skał prowadziła kamienista równina pokryta piaskiem o różowym odcieniu. Nad wszystkim górowało mieniące się fosforyzującymi barwami niebo.

I wtedy nawiedziła mnie przerażająca wizja.

Gabinet jakby rozplątał się w powietrzu. Zamiast niego otaczały mnie roztańczone w węzowym ruchu kolumny, które niknęły w podstawie chwiejącej się na nich kopuły. Poczułem bolesny ucisk w kręgosłupie. Moje nagie, łukowato wygięte ciało było przykute do głazu o kolorze zastygłej magmy.

Nagle kątem oka dostrzegłem galaretowaty kształt przelewający się między filarami. Pełzł, czy też raczej sunął po posadzce w moim kierunku. Próbowałem się wyszarpnąć z uwięzi, ale poczułem jedynie kolejny, przeszywający na wskroś ból pleców. Z bezkształtnej kreatury zaczęły wyłaniać się nitkowate macki. Końcówka każdej z nich usiana była dziesiątkami małych ząbków okalających coś, co biologowi nie mogło nie przypominać otworu gębowy minoga, archaicznej ryby przysysającej się do swoich ofiar. „O Boże!” - zakrzyknąłem w duchu. Wiedziałem, co za chwilę się stanie.

Pierwsza macka wpiła się w moje ciało tuż nad kolanem. Czułem jak kielki przebijają mi skórę, a mięśnie i ścięgna rwą się zasysane z gigantyczną mocą. Patrzyłem wybałuszonymi oczami, jak moje tkanki wędrują w górę przezroczystej kończyny i giną w galaretowatym cielsku potwora.

Kolejna macka wgryzła się w mój brzuch, by chwilę później wyrwać mi wnętrzności.

I wtedy wizja się skończyła.

Wciąż siedziałem na krześle przed tajemniczym malowidłem. Przepocona koszula lepiła mi się do pleców, choć w pokoju było chłodno. Coś zmieniło się w obrazie. W samym jego centrum, wśród czarnych skał, pojawiła się konstrukcja, której kopuła opierała się o powykręcane filary, spomiędzy których wyłaniały się śluzowate macki. Tak, to musiał być obraz z mojej halucynacji. Nie



wiem, jak się pojawił na płótnie, ale dałbym sobie rękę odciąć, że wcześniej go nie było.

Nagle mnie olśniło. Jestem pewien, że to koszarne monstrum w tej niby-świątyni widziałem jako dziecko na grafice w jednej z książek z biblioteki dziadka. Dorastałem w przekonaniu, że to był jedynie płód wybujałej imaginacji nieznanego mi autora. Teraz gotów byłem uwierzyć, że nieznanymi mi artystami musiał doświadczyć tego, co było również moim udziałem.

Wtedy przyszło mi do głowy coś, co pewnie wyda ci się, droga siostrze, kompletnie szalone.

Wiedziony impulsem dotknąłem powierzchni obrazu opuszkami palców. Wcale nie była chropowata, a przecież właśnie takie powinno być pokryte farbą płótno malarskie. W miejscach styku z moją skórą po płaszczyźnie rozeszły się koncentryczne kręgi. Zupełnie tak, jakbym dotknął powierzchni wody. Wsunąłem dłoń głębiej a ona po prostu przeszła na drugą stronę.

Zrozumiałem, że to nie jest zwykły obraz. To brama do innego świata.

Droga siostrze, przez całe życie łudzimy się, że świat jest zrozumiały, piękny i dobry. To powód, dla którego zostałem naukowcem. Ale może jednak dziadek Edward miał rację? Może to, co nas otacza, to jedynie cienka fasada, która skrywa przerażającą i niemożliwą do objęcia rozumem tajemnicę? Może tętniącym sercem rzeczywistości jest koszmar?

Wiesz, co muszę zrobić. Tlą się we mnie resztki nadziei, że gdzieś tam, w tym przerażającym krajobrazie, uda mi się odnaleźć dziadka i sprowadzić go z powrotem - o ile tylko nie spotkał go los, który widziałem w mojej wizji. Muszę spróbować go wydostać, jestem mu to winny za moją niewiarę.

Jeśli czytasz ten list, to zapewne będzie znaczyło, że mi się nie udało. Wtedy, zaklinam cię na wszystkie cudowne chwile, które razem spędziliśmy – spal ten obraz.



Kocham Cię, Twój brat Albert

Nota prasowa ze Stettiner Zeitung z 16 maja 1921 roku:

Zaginął znany naukowiec

Policja szuka doktora Alberta Kursta. Rok temu zaginął również dziadek mężczyzny, Edward Kurst, znany antykwariusz. Nasza redakcja dowiedziała się nieoficjalnie, że dr Kurst zostawił w jego mieszkaniu list do siostry. Elizabeth Kurst odmawia komentarza w tej sprawie.

Dr Albert Kurst to entomolog i ornitolog. Jego wykłady o ciekawostkach z życia zwierząt w Stadtbibliothek cieszą się dużym zainteresowaniem miłośników przyrody z naszego miasta.



Emil Zawadzki: Anno Domini 3023

Niewielki, międzyplanetarny statek osobowy pokonał górne warstwy atmosfery ziemskiej i z impetem przebił się przez gęstą zasłonę chmur. Pojazd wyhamował tuż przed powierzchnią mega oceanu, który już od setek lat pokrywał praktycznie całą błękitną planetę. Potężne silniki jonowe wzburzyły spokojną do tej pory taflę wód, w niesamowity sposób zabarwioną na złocisty kolor przez wschodzące słońce. Przed załogą roztoczył się zapierający dech w piersiach krajobraz.

– Takich widoków nie ma na Marsie – wyszeptał z zachwytem Uther, kapitan i dumny właściciel statku.

– Muszę ci przyznać, że godzinę lądowania wybrałeś bezbłędnie – odpowiedział Tion, jego kolega z Marsjańskiej Akademii Nauk.

Choć obaj byli przedstawicielami gatunku homo sapiens, to na Ziemi czuli się niczym obcy. Cywilizacja ludzka już od kilkuset lat eksplorowała układ słoneczny i na stałe przeniosła się na Marsa. Życie na błękitnej planecie było jedynie odległym, zatartym w pamięci wspomnieniem. A wszystko za sprawą wielkiego kataklizmu, który doprowadził do zatopienia każdego z kontynentów. Wszelkie wzmianki o przyczynach katastrofy zaginęły podczas burzliwego okresu przejściowego i obecnie osnute były mgłą tajemnicy. Ludzie tacy jak Uther i Tion poświęcili swoje życie dążeniu do odkrycia prawdy w imię nauki i historii.

Statek, kierowany pewną ręką młodego pilota, osiadł z gracją na falach. Chwilę później silniki ucichły, a wzburzone wody zaczęły się uspokajać. Następnie zza kokpitu wystrzelona została zdalnie sterowana sonda akustyczna, która natychmiast zniknęła pod wodą i pomknęła w stronę dna. Wkrótce jej śladem podążył Tion, wyskoczywszy z uchylonego włazu w pełnym skafandrze do



nurkowania. Po tych perturbacjach nad wyludnioną, prawdziwie błękitną planetą ponownie zapanowała wszechogarniająca, martwa cisza.

– Nurek do bazy! – odezwał się Tion, grzebiąc przy hełmie i włączając reflektor, który rozświetlił odrobinę mroczną toń. – Jak moje odczyty?

– Wszystko w jak najlepszym porządku! – Głos Uthera rozległ się we wbudowanej w skafander nurka słuchawce. – Miej oczy dookoła głowy, wedle pradawnych tekstów to właśnie w tej okolicy zaczęła się zagłada Ziemi. Jeśli nam się poszczęści, to dowiemy się, co tak właściwie się wtedy wydarzyło.

– Masz na ekranie obraz z mojej kamery?

– Tak, ale z jakiegoś powodu łapiemy lekkie opóźnienie w transmisji. Nie martw się tym, ważne, że łączność radiowa jest w czasie rzeczywistym!

Autonomiczna sonda zaczęła krążyć powoli wokół Tiona, skanując okolicę na wypadek nieprzewidzianych niebezpieczeństw. Jej reflektory odsłaniały przed nurkiem tajemnice starego, straconego przed wieloma laty świata. Tion powoli zbliżał się do pierwszych wieżowców zalanego falami miasta. Miał niepowtarzalną okazję by podziwiać świat takim, jaki był przed wielką katastrofą. Widział niemal nietknięte, przyozdobione ogromnymi szybami wieżowce, ale także budynki oznaczone bliznami wybuchających bomb. Miejsce to było świadkiem wielkiej wojny, ale Tion wiedział, że to nie ów konflikt był przyczyną zniszczenia planety. Był to raczej skutek. Ludzkość rozpaczliwie walczyła tu wówczas o dostęp do wielkich promów kosmicznych, dzięki którym można było bezpiecznie opuścić Ziemię. Musiało być bardzo źle, skoro praprzodkowie dosłownie zabijali się o dostęp do statków. Mężczyzna zastanawiał się, jakim cudem nie zachowała się żadna wzmianka o początku katastrofy. Może prawda była tak potworna, że celowo oszczędzono jej następnym pokoleniom?

Tion podświadomie trzymał się jak najdalej od budynków. Bał się, że zobaczy przez okno obgryzione przez ryby szczątki ludzi, którzy nie zdążyli uciec na



Marsa. Całe to miejsce zaczęło napawać go niepokojem, zupełnie jakby gdzieś w mroku czaiło się coś bardzo złego. Najgorsze było to, że czuł się obserwowany.

– Uwaga, sonda wykryła jakieś formy życia wokół ciebie! – ostrzegł w słuchawce Uther. Jego głos był już słaby i niewyraźny, łączność radiowa traciła powoli na jakości.

Nieoczekiwanie oczom Tiona ukazały się wijące się macki, które przemknęły tuż przed jego hełmem. Nurek zamarł w bezruchu, ale nic złego się nie wydarzyło. Światło krążącej wokół sondy oświetliło po chwili grupę sporych zwierząt, które wydawały się zaciekawione tajemniczym przybyszem z gwiazd.

– To tylko kilka ośmiornic – zakomunikował nurek i odetchnął z ulgą. – Schodzę dalej w stronę dna!

Tion chwycił się sondy, która opadała coraz niżej i niżej wśród zatopionych wieżowców. Reflektory rzucały światło na zdewastowane resztki niegdyś tak dumnej cywilizacji oraz na ukrywające się tu i ówdzie kolejne ośmiornice. Nurek nie mógł pozbyć się wrażenia, że na samym dnie czai się coś złego, coś, co powinno być zostawione w spokoju. Tion z trudem zdusił w sobie ostrzeżenia instynktu. Nie mógł się teraz wycofać. Nie po tym, jak razem z Utherem miesiącami starali się na uczelni o pozwolenie na lot w stronę Ziemi. Przez niezliczone noce analizowali stare mapy i zapiski w wiekowych kronikach, żeby określić najbardziej prawdopodobne źródło owianej tajemnicą katastrofy. Cokolwiek to

wówczas było, to przecież minęło niemal milenium od tamtych wydarzeń! Tion spodziewał się znaleźć zaledwie nikłe ślady, dowody na jedną z szalonych teorii, a nie stale aktywne zagrożenie. Wystarczyło pokonać pierwotny strach i zagłębić się w niedostępne rejony zdewastowanej planety, w cmentarzysko ludzkiej cywilizacji...



Przebywający w statku Uther od dłuższego czasu próbował usprawnić łączność. Im jego kolega głębiej nurkował, tym większe opóźnienie występowało w przesyłaniu obrazu i dźwięku. Niepokoił go fakt, że Tion nie odzywał się już od kilku minut, a na ekranie monitora wyświetlał się statyczny obraz kilku ośmiornic przepływających tuż obok nurka.

– Baza do Tiona! Baza do Tiona! – nawoływał co jakiś czas pilot, jednak za każdym razem bezskutecznie.

W końcu, po nieznośnie długim czasie w słuchawce Uthera rozległ się szereg zgrzytów i pisków, poprzetykany urywanymi słowami kolegi. Pilot zwiększył moc transmisji dźwięku kosztem płynności przesyłanego obrazu. Wiedział, że pojedyncze klatki nagrania i tak dotrą do statku, tyle że z jeszcze większym opóźnieniem.

– Odpalaj silniki i startuj! – krzyknął w słuchawce Tion, kiedy sygnał ustabilizował się na krótką chwilę. – Mniejsze ośmiornice są tylko jego potomstwem! Przeklęty pomiot! Uciekaj, póki możesz! To, co brałem za dziwne wypustki, to w istocie skrzydła! Odlatuj, bo cię dogonią! A bestia na samym dnie jest gigantyczna i zmiażdży statek w mgnieniu oka! Przekaż ludziom na Marsie, żeby już nigdy tu nie wracali!

– Nie zostawię cię tu na pastwę losu, po prostu wypłynę na powierzchnię! – odpowiedział z rozpaczą Uther, chociaż wiedział, że jego słowa dotrą do nurka najprawdopodobniej po wielu minutach. Biorąc pod uwagę marną jakość dźwięku Tion musiał być naprawdę głęboko.

– Kończy mi się czas, to coś lada moment mnie złapie! – wołał rozpaczliwie nurek. – Na boga! Słyszę jego myśli! To nie są słowa z tego świata... Cthulhu fhtagn! Cthulhu fhtagn! Cthulhu fhtagn... Cthulhu...

To był ostatni komunikat Tiona, jaki Utherowi udało się usłyszeć. Tuż po nim na pokładzie statku rozległa się syrena alarmowa. Zaawansowane czujniki wykryły, że do pojazdu z niewiarygodną prędkością zbliża się kolosalny obiekt.



Pilot przełączył silniki na tryb awaryjny i poderwał maszynę z powierzchni wód. Nie chciał zostawiać przyjaciela na pastwę

losu, ale w pierwszej kolejności musiał ocalić statek, którym obaj będą mogli wrócić na czerwoną planetę.

Mega ocean pokrywający Ziemię wzburzył się nieoczekiwanie niczym doprowadzony do wrzenia, a niebo zasnuły ciemne chmury. Choć wcześniej tak przepiękna, teraz planeta wydała się Utherowi wyjątkowo nieprzyjaznym miejscem, które najwyraźniej próbowało się pozbyć nieproszonych gości.

Właśnie wtedy, kiedy pilot walczył o kontrolę nad targanym wichrami statkiem, na jednym z monitorów wyświetlił się ostatni, statyczny obraz zarejestrowany przez kamerę Tiona. Uther w jednej chwili zrozumiał, że dla jego przyjaciela nie było już ratunku. Na ekranie widział resztki przeszklonych wieżowców, pomiędzy którymi stała kolosalna bestia. Światło autonomicznej sondy dokładnie ją oświetlało, przez co Uther był w stanie dostrzec wiele budzących grozę szczegółów. Monstrualne cielsko było humanoidalne, ale w całości pokryte zieloną łuską i zwieńczone karykaturalnym łbem ośmiornicy z wijącymi się dookoła mackami. Z kolei za plecami potwór posiadał parę gigantycznych skrzydeł. Jedna z potężnych łap została uwieczniona w chwili, w której sięgała w stronę kamery i biednego Tiona. Spotkania z czymś tak potwornym nikt nie byłby w stanie przeżyć.

Uther podczas całego lotu na Marsa zastanawiał się, co ma powiedzieć na uczelni i jak całą sytuację ma wytłumaczyć krewnym Tiona. Tak wiele rzeczy pozostawało niejasnych, ale jego głowę zaprzętała w szczególności jedna myśl. Czy upadek ziemskiej cywilizacji rozpoczął się przed laty wraz z przybyciem tej tajemniczej bestii, czy może drzemała ona na dnie morza przez tysiące lat, a ludzkość jedynie ją przebudziła?

Ocean uspokoił się w tej samej chwili, w której statek międzyplanetarny opuścił atmosferę ziemską. Wzburzone fale wygładziły się, a podmorskie życie wróciło



do dawnego rytmu, który trwał nieprzerwanie od setek lat, podczas których Ziemia była pod panowaniem potężnego Cthulhu.



Agnieszka Kwiatkowska: Przyjaciółka

Sierpniowe noce podobno są najbardziej gwiazdziste w całym roku, tak mawiała babcia Nastki. Przez ostatni tydzień niebo było zachmurzone, nie widać było nawet księżycy, ale tej nocy, gdy zgodnie z obietnicą Nastka wymknęła się nad brzeg Gwdy w znane miejsce na uboczu, chmury odeszły i jakby na dobrą wróżbę ukazały się gwiazdy, całe konstelacje. Dziewczynka ostrożnie to zbliżała dłoń do tafli, to ją cofała, nie chcąc zmącić wody i zepsuć efektu. Była szczęśliwa jak nigdy.

Nareszcie i w jej życiu pojawiła się magia!

Rodzice nigdy nie mieli dla niej czasu, wiecznie w pracy i na wyjazdach. Nie dopytywali więcej ponad „jak w szkole”, toteż Nastka nie musiała im o wszystkim mówić, zwłaszcza o tym, z kim i gdzie się spotyka. „Idę do Ali, parku, gdziekolwiek”, mówiła już z jedną nogą za drzwiami i wychodziła, słysząc pomruk aprobaty. Miasto było bezpieczne, a rodzice ufni. Bardzo chciała im przedstawić swoją przyjaciółkę, ale ta prosiła, aby jeszcze się wstrzymać. „Bo ja jestem inna niż wszyscy”, tłumaczyła. „Rodzice nie rozumieją. Wiesz, dorośli są dziwni. Ale niedługo poproszę cię o pomoc”.

Nagle wszystko się zmieniło. Pewnego dnia rodzice odebrali Nastkę ze szkoły, a jak tylko dojechali do domu, zaczęli krzyczeć tak głośno, że dziewczynka nie mogła zrozumieć, o co im chodzi. Powiedziano jej tylko, że od tej pory koniec z wychodzeniem gdziekolwiek samej. Do szkoły, ze szkoły, wszędzie z którymś z rodziców. I koniec z parkiem, rowerem dokoła bloku, po prostu koniec i już.

Nastka skrzywiła się, potarła ramiona, bo zaczęło jej się robić zimno. Ale obiecała, że zaczeka, więc liczyła się z tym, że może to trochę potrwać. Przyjaciółka prosiła ją o cierpliwość, a Nastka dla przyjaźni zrobiłaby wszystko.

Dopiero w szkole dotarły do niej pogłoski. Dzieciaki były bardzo dobrze poinformowane i choć po korytarzach krążyły najbardziej niestworzone plotki,



zrozumiała, że w mieście zaginęła bez śladu trójka dzieci. Teraz stało się dla niej jasne, dlaczego na dźwięk jej kroków rodzice wyłączali telewizor, a gdy wchodziła do pokoju, rozmowy milkły jak ucięte nożem. Zirykowało ją to, w końcu nie była małym dzieckiem. Nie rozumiała, lub też nie chciała zrozumieć, że trzymanie jej w domu było ze strony rodziców przejawem zdrowego rozsądku. Wiedziała jedno – że w ten sposób może stracić przyjaciółkę. No bo kto chciałby przyjaźnić się z kimś, kto nie ma czasu przyjść i się spotkać?

Rodzice kłócili się coraz częściej, czasami słychać było przekleństwa. Ojciec wracał coraz później, matka paliła coraz więcej. Nastka wieczorami z całej siły zatykała uszy i nucila, nie chcąc słyszeć odgłosów awantur. Czasami życzyła sobie, aby rodzice umarli, bo wtedy miałyby więcej wolności. Tęskniła do dni, kiedy nikogo nie obchodziła i mogła swobodnie wychodzić. Stopniowo, z każdym dniem czuła coraz bardziej, że się dusi.

Tafla wody, napięcie powierzchniowe. Czuła się taka uczona, rozumiejąc, co to oznacza, bo zeszłego lata wyjaśniła jej to znajoma rodziców na wyjeździe nad jezioro. Teraz też kusilo ją, aby dotknąć palcem tafli, zacząć liczyć w niej gwiazdy. Ale zepsułaby efekt, na gładkiej tafli pojawiłyby się zmarszczki. Dlatego uzbroiła się w cierpliwość i dalej czekała. Przyjaciółka powinna się niedługo pojawić.

Gdy zobaczyła ją po raz pierwszy, myślała, że śni. Siedziała nad rzeką samotna, znudzona i nieszczęśliwa, bo Ala, jedyna koleżanka, która ją – jak sądziła Nastka – lubiła, nie zaprosiła jej na swoje urodziny.

Najpierw zobaczyła – jak jej się wydawało – odbicie w wodzie. Jezioro zafalowało, jakby pod powierzchnią zatańczyła ławica ryb, a po chwili pokazała się w nim dziewczęca twarz. Okrągła, uśmiechnięta, z burzą jasnych loków. Twarz nieznamomej była tak sympatyczna, że Nastka bezwiednie oddała uśmiech. Odwróciła się i zamarła, bo za jej plecami nikogo nie było. Zdezorientowana skierowała wzrok ku wodzie, a ona tam była. Właśnie w wodzie! Nadal się



uśmiechała, a wokół niej pływały węgorze. Nastka poczuła, że robi jej się słabo. Powoli zaczynała rozumieć, że ma przed sobą utopioną dziewczynkę. Otworzyła usta, zamknęła je, żołądek podjechał jej do gardła. I wtedy ją usłyszała:

„Nie bój się, ja żyję. Zobacz, mówię do ciebie, o, i macham. Widzisz?”

- Ale przecież jesteś w wodzie – wyszeptała Nastka. Głos dziewczynki brzmiał dziwnie, jakby rozlegał się we wnętrzu głowy, i tak dziwnie szeleścił. Było w nim coś nieprzyjemnego, lekko chrzęszczącego.

„To czary – powiedziała smutno dziewczynka. – Wierzysz w czary? Proszę, powiedz, że tak! Bo ja od dawna czekam na kogoś, kto nie będzie się mnie bał. Chciałam tylko porozmawiać. Ja tu jestem taka samotna”.

Samotna. Słowo-klucz, które Nastka знаła aż za dobrze. Choć żołądek nadal wyczyniał figle (te węgorze, fuj!), to dziewczynka czuła, że właśnie zadziała się jakaś magia. Zawsze marzyła, że pewnego razu zdarzy się jej to samo, co bohaterom w filmach, coś niezwykłego, co odmieniłoby jej życie. I proszę, miała przed sobą wodną nimfę, która obiecała jej opowiedzieć więcej o tym wodnym świecie i o tym, jaki on jest piękny.

Już nie była zwyczajna. Teraz była wyróżniona.

Zimno. Coraz zimniej. Nastka starała się nie narzekać nawet w myślach, bo wiedziała, że przyjaciółka umie czytać także w nich, i to na odległość, ale to już przestawało być zabawne. Obiecała pomóc i zrobić wszystko, co trzeba, aby się udało, ale już chyba dawno minęła północ. Cudem się wymknęła i biegła opustoszałymi ulicami, niezauważona przez nikogo, a teraz czekała cierpliwie na przyjaciółkę. Powinna już być, obiecała przecież. Co ją zatrzymało? Pokusa dotknięcia tafli wody wydała się Nastce nagle nie do odparcia.

Im więcej magii się działo, tym bardziej Nastka obojętniała na codzienne życie. Każdego wieczoru rozmawiały z przyjaciółką na odległość. Każdego ranka witały się z entuzjazmem, dzieliły każdą myślą podczas lekcji, śmiały w duchu w trakcie posiłków. Ojca już praktycznie nie bywało w domu, za to codziennie ryczał



telewizor, przed którym pachnąca słodko i dziwnie matka zasypiała już wczesnym wieczorem.

Nastka obojętnie, jednym uchem słuchała wiadomości. Znowu zaginęło dziecko, tym razem nad brzegiem rzeki znaleziono jego bluzę dresową i plecaczek. Miasto kipiało paniką. Szkoła pogrzyżyła się w żałobie i nawet Nastka wyrwała się na moment z radosnego otępienia, bo zaginionym chłopcem był jej kolega z klasy.

Przyjaciółka musiała ją długo uspokajać. Mówiła o potworach w głębinach, z których najgorsze żyją w najgłębszych czeluściach morza i rzadko kiedy udaje im się wpłynąć do słodkiej wody. Zapewniała, że żadnego z tych potworów nie ma tu, w rzece, bo wiedziałyby o tym. Nastka słuchała jej i czuła się dziwnie. Pierwszy raz od dłuższego czasu, słuchając przyjaciółki, czuła dziwne zimno w sercu. Jakby w tych wszystkich miłych, szczerych słowach pojawiła się nagle nuta... fałszu? Czegoś obcego?

Na szczęście trwało to tylko chwilę. Nastka wyrzucała sobie później ten nastrój, bo przecież przyjaciółka zawsze była wobec niej szczerą. A tym razem poprosiła ją o pomoc, bo jak powiedziała, nadszedł czas, wreszcie się odważyła i to będzie coś zupełnie nowego, ale musi mieć do tego zaufaną osobę.

Nastka szczękała zębami. Coś było nie tak, czuła to – podobne wrażenie miała wtedy, gdy rozmawiały o najgorszych potworach z głębin. Jeszcze dwie godziny temu czuła się szczęśliwa, bo miała pomoc przyjaciółce spełnić jej marzenie. Teraz zimno przywołało lęk. Nie tak miało być. Ona powinna tu już dawno się pojawić. Jest już bardzo późno... czy może raczej bardzo wcześnie? Nastka wbiła wzrok w tafłę wody. Gwiazdy przygasaly, rozmywały się w jasności nadchodzącego poranka. Lada moment będzie dzień.

Wołała ją bezgłośnie, ale zero odzewu. Mało tego – czuła, jakby połączenie między nimi zostało zerwane. I chociaż cały czas miała mówione, aby nie dotykać tafli, bo to może zakłócać kontakt, to bezwiednie wyciągnęła przed siebie dłonie.



Największe marzenie przyjaciółki, móc na jedną noc wyjść z wody...

Jest już rano, gdzie ona się podziewa?

Lewa dłoń dołączyła do prawej. Nastka dotknęła tafli palcami – tafla nawet nie zafalowała – spięła się, wyprostowała palce i pchnęła taflę dłońmi. Spodziewała się, że tafla rozprysnie się, ale ku jej przerażeniu była twarda niczym szkło. Pchnęła raz jeszcze, a potem w nagłym przyplywie paniki zaczęła młócić rękami, próbując przebić się na drugą stronę.

Bardzo powoli zaczynało do niej docierać, co tak naprawdę się stało. Otworzyła usta, chciała krzyknąć, ale zamiast wrzasku wydobył się z nich tylko bulgot i pęcherzyki wody. Unosiła się w wodzie, oddychała nią, ale już pozbawiona złudzeń, za to z pełną świadomością, gdzie się podziały wszystkie zaginione dzieci.

Miały się zamienić tylko na kilka godzin, ale do tego potrzebna była pomoc jej, człowieka. Przyjaciółka obiecała, że wróci przed świtem, chciała się tylko przejść, uwolnić na trochę, pooddychać prawdziwym powietrzem. Potrzebowała dobrowolnej zgody na zamianę, jak mówiła, tylko na kilka godzin...

Nastia dotknęła palcem nieruchomej i nie do przebicia tafli. Powoli i ze łzami w oczach dotykała ostatnich odbijających się w wodzie gwiazd.



Artur Michalski: Szepty z otchłani

Jonathan Harris stał na progu działu zastrzeżonego w bibliotece Uniwersytetu Miskatonic, a jego serce waliło w oczekiwaniu. Powietrze było ciężkie od złych przeczuć, jakby te same książki, które stały na półkach, skrywały tajemnice zbyt straszne, by mogły zostać ujawnione światu. Drżącymi rękami Jonathan pchnął ciężkie drewniane drzwi, ukazując słabo oświetloną komnatę wypełnioną starożytnymi księgami i wyblakłymi rękopisami. Kurz tańczył w bladych promieniach słońca, które sączyły się przez wysokie okna, nadając pomieszczeniu eteryczną poświatę. W powietrzu unosił się zapach starego papieru i zapomnianej wiedzy, wzbudzając w nim mieszaninę niepokoju i podniecenia. Jego wzrok natychmiast został przyciągnięty do konkretnej książki, wciśniętej w rząd pozornie niczym niewyróżniających się tomów. Oprawiona w skórę okładka księgi była popękana i wyblakła, unosząc ciężar wieków i ciężar zakazanej wiedzy. Palce Jonathana przesunęły się po grzbiecie, śledząc skomplikowane wzory wryte na postarzonej skórze. Fala oczekiwania przebiegła w jego żyłach, gdy wyciągnął książkę z miejsca spoczynku. Ledwie czytelny tytuł sprawił, że przeszedł go dreszcz: „Szepczące Cienie: Objawienia Starszych”. Gdy otworzył książkę, strony zaszeleściły własnym życiem, jakby chciały, by je jeszcze raz przeczytać. Starożytne teksty i relacje wypełniały pożółkłe strony, a każde słowo było świadectwem niezgłębionych okropności, które czaiły się za zasłoną rzeczywistości.

Archiwa Uniwersytetu Miskatonic stały się sanktuarium Jonathana, schronieniem, w którym mógł odkryć fragmenty wiedzy, które od dawna były pogrzebane pod kurzem stuleci. Strona po stronie pochłaniał opisy niewypowiedzianych rytuałów, rozszyfrowywał tajemnicze symbole i śledził rodowód niejasnych kultów czczących obrzydliwości kosmosu. Każde odkrycie było fragmentem przerażającego gobelinu, łączącego kropki, które rozciągały się nie tylko na stulecia, ale także na wymiary wykraczające poza ludzkie zrozumienie. Ale gdy układanka zaczęła nabierać kształtu, Jonathan popadł



w szaleństwo. Paranoja nadgryzła mu zdrowie psychiczne, szepcząc mu do ucha, że jest obserwowany, że starożytne siły sprzysięgły się przeciwko niemu. Cienie tańczyły w kątach jego pola widzenia, a każda skrzypiąca deska podłogi stawała się zwiastunem nieuchronnej zagłady. Sen stał się nieuchwytnym luksusem, gdy koszmary nawiedziły jego sny. Wizje potworów z mackami i niesamowitych krajobrazów nawiedzały jego niespokojne noce, zostawiając go mokrego od potu i łapiącego oddech. Granica między rzeczywistością a złudzeniem zacierała się, a ukojenie znajdował jedynie w pogoni za zakazaną wiedzą. Jonathan zaintrygowany i przerażony bluźnierczymi rytuałami, postanowił zagłębić się w tajny świat, napędzany chorobliwą ciekawością, która tańczyła ramię w ramię ze strachem. Dzięki skrupulatnemu planowaniu i nieustępliwej determinacji przeniknął do ich zacienionych zgromadzeń, ukrywając się wśród zamaskowanych wyznawców. Był świadkiem niewypowiedzianych ceremonii, podczas których składano ofiary z ludzi, by przebłagać drzemiący kosmiczny horror, który czcił ten kult.

Powietrze było gęste od smrodu kadzidła i szaleństwa, intonowanie zakazanych zaklęć odbijało się echem w słabo oświetlonej komnacie. Serce Jonathana waliło z mieszaniny strachu i fascynacji, gdy obserwował niepokojące oddanie członków sekty. Ich oczy błyszczały fanatyzmem graniczącym z szaleństwem, ich ciała wykrzywiały się w groteskowym tańcu czci. To był makabryczny balet, w którym zburzone zostały granice rozsądku i zwyciężyły pierwotne instynkty czci. Ale bez wiedzy Jonathana, jego obecność nie pozostała niezauważona. Kult, przesiąknięty starożytną wiedzą i ukrytymi planami, zaczął postrzegać go jako zagrożenie. Szepty o jego śledztwach docierały do ich uszu, wzbudzając paranoję i determinację, by za wszelką cenę chronić ich mroczne sekrety. Cienie zdawały się śledzić każdy jego ruch, a powietrze stało się ciężkie od złowrogiej obecności. Stał się pionkiem w ich złowrogiej grze, pionkiem, który groził ujawnieniem ich starożytnych rytuałów i zachwianiem kruchej równowagi, którą utrzymywali przez wieki. Poczucie zbliżającej się zagłady targało świadomością Jonathana, jednak nie mógł oderwać się od ponętnej sieci objawień i niebezpieczeństw, które go usidliły.



Z umysłem balansującym na krawędzi szaleństwa, Jonathan natknął się na starożytny rytuał zdolny do przywołania przerażającej istoty znanej jako Cthulhu. Kierowany rozpacziwą mieszanką ciekawości i szaleństwa, postanowił odprawić rytuał, przekonany, że zawiera on klucz do tajemnic dręczących jego duszę. Drżącymi rękoma zebrał niezbędne komponenty i udał się w odludne i odosobnione miejsce, z dala od wścibskich oczu. Powietrze było ciężkie od oczekiwania, naładowane niezmierną energią, która zdawała się przenikać samą tkankę rzeczywistości. Ziemia pod jego stopami szeptała starożytne zaklęcia, popychając go naprzód w nieznaną. W migoczącym świetle półksiężyca Jonathan stał przed skrupulatnie przygotowanym zestawem symboli i pieczęci, których tajemne piękno było zarówno hipnotyzujące, jak i przerażające. Intonował starożytne słowa, a jego głos był delikatną nicią w bezmiarze kosmosu, rezonując z mocą przekraczającą ludzkie zrozumienie. Granice między światami zacierały się, gdy zaklęcia tkwały gobelin zakazanej magii. Z każdym wersem powietrze trzeszczało wyczuwalną energią. Ziemia drżała pod jego stopami, jakby budziła się z wiecznego snu. Cienie tańczyły w szaleńczej ekstazie, wirując i łącząc się w wir niesamowitych energii. Serce Jonathana waliło mu w piersi, mieszanka strachu i radości krążyła w jego żyłach. A potem, w tym momencie wzmożonego oczekiwania, w wirującym wirze zaczęła się materializować obecność. Starożytna istota, Cthulhu, ucieleśnienie pierwotnego chaosu i niezgłębionej mocy, odpowiedziała na wezwanie Jonathana. Powietrze stało się ciężkie od ciężaru jego obecności, sama tkanka rzeczywistości drżała pod jego podstępny wpływem. Powietrze zgęstniało od poczucia zbliżającej się zagłady, jakby sam wszechświat wstrzymał oddech w oczekiwaniu na to, co miało nadejść. Oczy Jonathana rozszerzyły się z mieszaniną podziwu i przerażenia, gdy ujrzał rozgrywający się spektakl. Powietrze trzeszczało od niezmierniej energii, a sama tkanka istnienia zdawała się napinać pod ciężarem starożytnego horroru, który rozpętał. Nieświadomie stał się pionkiem w kosmicznej grze o władzę i zniszczenie, manipulowanym przez siły znacznie większe niż jego śmiertelne zrozumienie. Nieziemskie prawdy, których szukał, teraz groziły zniszczeniem nie tylko jego zdrowia psychicznego, ale także świata,



który starał się chronić. Jego umysł, poobijany i kruchy, stał się polem bitwy, gdzie rozsądek ścierał się z podszeptami szaleństwa. Z niezachwianą determinacją Jonathan zrobił krok do przodu, stając twarzą w twarz z istotą, której śmiertelnik nie jest w stanie pojąć.

Cthulhu, nieopisane połączenie koszmarnych rysów twarzy i odrażającej urody, spoglądało na Jonathana oczami, w których kryła się wiedza eonów. Jej niezglębiona postać górowała nad nim, pomnik pierwotnego chaosu, z którego się wyłoniła. Sama esencja jego obecności groziła zmiążdżeniem jego kruchej śmiertelnej postaci. Ale Jonathan, w swoim desperackim buncie, odmówił poddania się wszechogarniającemu przerażeniu, które go ogarnęło. Wzmocnił swoją determinację, czerpiąc z wewnętrznej siły, o której istnieniu nie wiedział. Z każdym uderzeniem serca jego determinacja rosła, napędzana palącym pragnieniem ochrony świata przed nadciągającą ciemnością. W obliczu tego kosmicznego horroru Jonathan podniósł głos, wypowiadając słowa sprzeciwu i woli, które odbiły się echem w wymiarach. Rzucił wyzwanie samej istocie Cthulhu, świadcząc o niezłomnym duchu w obliczu niewyobrażalnych przeciwności. Rzeczywistość drżała i trzęsa się pod ciężarem ich konfrontacji, grożąc, że pęknie w szwach.

W katastroficznym starciu śmiertelności z niepojętym polem bitwy stało się sceną dewastacji i ruiny. Podróż Jonathana, która rozpoczęła się od niewinnego poszukiwania prawdy, zaprowadziła go na ścieżkę niezglębionej ciemności. Powietrze trzeszczało od nieziemskiej energii, a świat drżał, gdy kosmiczne istoty toczyły swoją starożytną wojnę. Sama rzeczywistość zdawała się wypaczać i skręcać pod ciężarem ich konfliktu. Sama tkanka istnienia napięła się, grożąc rozpadem w obliczu tak ogromnej mocy. Jonathan, złapany w sam środek tego kosmicznego wiru, walczył z każdą uncją siły, jaka mu pozostała. Stał ramię w ramię z ostatnimi resztkami ludzkości, armią śmiertelników walczących z nieopisanymi horrorami, które chciały ich pochłonąć. Brzęk ostrzy i kakofonia krzyków rozbrzmiewały echem w powietrzu, gdy dwie przeciwstawne siły zderzyły się w bitwie o losy świata. Ale gdy opadł kurz i ucichły echa bitwy, na



jaw wyszła druzgocąca prawda. Resztki cywilizacji leżały w gruzach, świadcząc o daremności śmiertelnych zmagania z kosmicznymi bytami, których nie rozumieją. Jonathan, zmęczony i załamany, stał pośród ruin świata, który został na zawsze zmieniony. Okropności, których był świadkiem, wiedza, którą odkrył, wywarły ogromne piętno na jego duszy. Na zawsze był naznaczony nieopisanym przerażeniem, które pochłonęło jego życie, nawiedzonym przez wspomnienia tego, co się wydarzyło. Gdy przyglądał się rozciągającemu się przed nim pustkowiu, Jonathana ogarnęło głębokie poczucie straty. Cena, jaką zapłacił za swoją nienasyconą ciekawość, była niewyobrażalna. Niegdyś jasny płomień jego ducha został przyćmiony, zastąpiony trwałą ciemnością, która na zawsze pozostanie w nim. W następstwie tej katastrofalnej bitwy Jonathan musiał kontemplować wagę swoich wyborów i niszczycielskie konsekwencje, które spadły na świat. Nienasycone pragnienie prawdy doprowadziło go na ścieżkę ruiny, a jego podróż zakończyła się zniszczeniem wszystkiego, co było mu drogie.



Artur Grzelak: Mgły nad Olmstead

Obudziło mnie wściekłe ujadanie psa. Przetarłem zaspane oczy i z trudem podniosłem się z łóżka. Ignorując ból w złamanej lata temu nodze, który zawsze odzywał się chwilę po przebudzeniu, pokuśtykałem do okna. Za szybą wciąż było ciemno, więc założyłem płaszcz i podszedłem do drzwi. Przed wyjściem chwyciłem za oparty o ścianę myśliwski sztucer, sprawdzając jednocześnie czy jest naładowany.

Gdy znalazłem się na zewnątrz, owiało mnie chłodne, nocne, morskie powietrze. W nozdrzach poczułem charakterystyczny, rybi odór. Pies wciąż szczekał z pyskiem zwróconym w stronę wybrzeża. Również spojrzałem w tamtym kierunku i zamarłem z przerażenia.

Nad Olmstead nadciągała mgła.

Gęste całuny wisiały nad oceanem, oświetlane bladym blaskiem księżyca. Niesione po-dmuchami wiatru powoli zmierzały w stronę wybrzeża. Wśród mgły co jakiś czas pojawiały się wyładowania, podobne do burzowych błyskawic, jednak o wiele mocniejsze oraz przybierające przeróżne kolory. Dominowała wśród nich rdzawa czerwień, co sprawiało wrażenie, jakby we mgle otwierała się brama do samego piekła. A może tak w istocie było, pomyślałem ze strachem.

– Rhino! – krzyknąłem na psa, a ten przestał szczekać i podbiegł na ganek. Merdał ogonek i kręcił się pod nogami wyraźnie wystraszony.

Moja rodzina mieszkała w Olmstead od pokoleń. Sprowadziła się tu przed ponad stu laty, jeszcze w czasach kolonialnych, kiedy cały kontynent był pełen dziwów, niesamowitych stworzeń i pierwotnych ludów.

Wioska składała się wtedy ledwie z kilku chałup, w której mieszkała grupa zapijaczonych Szkotów trudniących się rybołówstwem. Żyli na uboczu, z własnego wyboru odizolowani od reszty Nowej Anglii. Z rzadka wybierali się



na targowiska do Arkham, Salem, a raz na kilka lat do Bostonu. Moja rodzina początkowo była traktowana jak intruzi, ale z czasem Szkoci, widząc pracowitość i pomysłowość mych przodków, zaczęli odnosić się do nich z szacunkiem. Po kilku latach, mentor rodu, Harrison Mersh został wybrany nieformalnym przywódcą.

Mijały lata, a Olmstead zaczynało się rozrastać. Powstała przystań z prawdziwego zdarzenia. Pojawiły się warsztaty, magazyny, a także pierwsza tawerna. Szkoccy mieszkańcy zasymilowali się z rodem Mershów, tworząc między sobą kilka małżeństw. Był to również dobry czas dla rybaków. Zatoka pełna była śledzi, dorszów oraz tuńczyków, które z dużym zyskiem sprzedawano w całej Nowej Anglii. Miasteczko zaczęli odwiedzać kupcy, więc niedaleko przystani wybudowano niewielkie targowisko oraz kilka dodatkowych spichlerzy.

Harrison zmarł nagle, podczas porannej pracy przy sieciach, a jego miejsce w roli burmistrza Olmstead, zajął mój dziadek, Francis. Pod jego rządami miasto przechodziło prawdziwy rozkwit. Dzięki ogromnej liczbie ryb do Olmstead zaczęli napływać osadnicy z Ipswich, Rockport, a nawet Innsmouth. Budowano kolejne domy, powstała następna przystań, a także latarnia morska.

Spokojny okres przerwała wojna o niepodległość kolonii, która wybuchła kilka lat później. Działania zbrojne na szczęście ominęły samo miasto, ale spowodowały zahamowanie jego rozkwitu, a także częściowe wyludnienie. Spora część mężczyzn wstąpiła do wojska, a większość z nich nigdy nie wróciła do Olmstead. Mimo, że zmieniła się struktura polityczna, a miasteczko weszło w skład nowo powstałego państwa, dla życia pozostałych mieszkańców niewiele się zmieniło. Wprowadzono nową walutę, zwaną dolarem, co spowodowało, że i tak słaby powojenny handel, jeszcze bardziej przystopował.

Mimo to, Francis nie ustawał w wysiłkach aby doprowadzić Olmstead do dawnej świetności. Ławice dorszy i tuńczyków wciąż licznie pojawiały się na wybrzeżu, toteż połowy były bardziej niż obfite. Dziadek wysyłał swoich ludzi do innych



miast, gdzie sprzedawali ryby w zamian za inne potrzebne i niedostępne w mieście dobra i płody rolne. Olmstead znowu zaczęło stawać na nogi, ale wtedy zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

Ponoć pierwszą osobą, która dostrzegła ślady na plaży była Susan Cathcart, córka krawcowej, która pewnego poranka zbierała wyrzucone na brzeg muszle. Tego poranka nad całym miastem wisiała gęsta, biała niczym kozie mleko mgła. Dziewczynka przechadzając się po wybrzeżu zobaczyła odcisk błonistej łapy na piasku. Kiedy poszła jego śladem, doprowadził ją wprost do morza. Początkowo nikt nie wierzył Susan, ponieważ kiedy dorośli dotarli do plaży, ślady zostały już zalane falami oraz zmyte porannym deszczem.

W ciągu kolejnych kilku lat zaczęły pojawiać się z coraz większą częstotliwością. Początkowo raz, góra dwa razy w ciągu roku, a później nawet kilkunastokrotnie. Dziadek Francis, podczas nocnej popijawy w tawernie skrzyknął kilku mężczyzn i postanowił udać się na plażę podczas porannej mgły. Niestety żaden z nich nie wrócił, a na piasku zostały po nich tylko plamy krwi oraz strzępy ubrań.

Wydarzenie to spowodowało, że mieszkańcy Olmstead wpadli w strach. W tajemniczych okolicznościach zaginęli najmężniejsi z nich. Jednak mój ojciec, Harley zdołał stonować nastroje i zaprowadzić porządek. Strach pozostał jednak w głowach i sercach ludzi zamieszkujących miasteczko.

Co gorsze ślady zaczęto widywać również w okolicach latarni morskiej i na przystani. Kilka osób utrzymywało również, że dostrzegło w nocy jakieś humanoidalne postaci z rybimi głowami, które przechadzały się ulicami Olmstead. Ojciec nie czekając długo postanowił temu przeciwdziałać. Wprowadził patrole, które miały pilnować, aby nikt niepożądany nie dostał się do miasta.

Choć miałem wtedy około dziesięciu lat, doskonale pamiętam tamtą noc. William Buchanan oraz Hutch Donnelly, pochwycili podczas patrolu tajemniczego stwora. Był człękokszałtny, ciemnozielony o olbrzymich błyszczących ślepiach. Większość ciała pokrywały mu łuski oraz śluz, a na szyi



pulsowały skrzela. Schwytany w rybacką sieć dziwołag skowyczał i skrzeczał, a mężczyźni, którzy go pochwycili rechotali wesoło i co jakiś czas kopali stwora.

Na przystań zaczęli docierać kolejni mieszkańcy miasta, żądni zemsty za śmierć Francisa i pozostałych. Sam biegłem tuż przy boku ojca, nie bardzo wiedząc co wywołało takie poruszenie. Gdy jednak ujrzałem próbującego wyrwać się z potrzasku stwora,

zaczęłem płakać i schowałem się za linczującym go tłumem. Słyszałem odgłos uderzeń i głośny skowyt, który ucichł dopiero po kilkunastu minutach. Ze stworzenia został jedynie krwawy strzęp. Truchło wrzucono do wody, bo jak stwierdził Donnelly, właśnie tam było jego miejsce.

Tej nocy nad Olmstead rozpętała się burza, a morzem wstrząsnął potężny sztorm. Fale były tak duże, że woda dotarła do najdalszych domostw w mieście, a wiele budynków zostało całkowicie zniszczonych. Fale uszkodziły przystań, a także kilkanaście kutrów i łodzi. Nad ranem, kiedy nawałnica minęła, okazało się, że w ciągu nocy zginęło prawie dwudziestu mieszkańców miasteczka.

Właśnie wtedy rozniosły się pierwsze pogłoski, że Olmstead jest przeklęte. A morze mści się za śmierci tajemniczego rybostwora. W ciągu następnego roku, podobne nawałnice powtórzyły się jeszcze dwukrotnie, co spowodowało, że część mieszkańców postanowiła opuścić miasto i udać się w inne części Nowej Anglii. Do Gloucester, Ipswich czy Arkham.

Ci, którzy zostali, w tym ja i moja rodzina, naprawialiśmy uszkodzone budynki i wciąż wypływaliśmy w morze. Próbowaliśmy przetrwać, jednak wydawało się, że ławice odpłynęły w inne rejony. Ojciec i inni rybacy wracali z marnymi połowami lub całkowicie pustymi sieciami.

W ciągu kolejnych kilkunastu lat miasto popadało w stopniową ruinę. Mgła oraz wyłaniający się z niej ryboludzie pojawiali się coraz częściej. Zdarzało się, że porywali śpiące w domach kobiety i dzieci. Wypływające w morze kutry nie



wracały, lub wracały bez załogi. W tym samym czasie na gruźlicę, zmarła również moja matka i młodsza siostra.

Kolejni mieszkańcy opuszczali Olmstead, a miasto systematycznie się wyludniało, aż w końcu zostało w nim ledwie kilkanaście osób. Ja z ojcem oraz grupa Szkotów, których rodziny mieszkały tu od pokoleń.

Mijał czas, mgły wciąż nadciągały znad oceanu, a wraz z nimi coraz śmielej poczynające sobie grupy ryboludzi. Wkraczali do miasta i szabrowali opuszczone budynki, a kiedy Hutch Donnelly, wybiegł do nich z nabitych muszkietem rozszarpały go na strzępy szponiastymi łapami.

Nikt już nie wypływał w morze, cierpieliśmy z głodu i ubóstwa, łapiąc zasiedlające Olmstead w niezliczonych ilościach, szczury i wybierając jajka z gniazd mew. Kilku Szkotów nie wytrzymało niedoli i rzuciło się w morskie odmęty z pobliskich klifów. Ojciec słabł każdego dnia, choć miał niewiele ponad czterdzieści lat. Włos mu posiwiiał, wciąż kasłał i dusił się, obawiałem się, że i jego mogła dopaść gruźlica.

W końcu pewnego poranka, kiedy się obudziłem twarz ojca była blada, a nos i usta pokrywała mu zaschnięta krew. Pochowałem go na wzgórzu za miastem, na którym w ostatnich latach przybyło bardzo wiele grobów.

I zostałem w Olmstead sam. Nie licząc psa, który przypałętał się do mnie kilka miesięcy temu.

Rhino wciąż czekał, a mgła była coraz bliżej. Unosiła się majestatycznie pochłaniając w swe objęcia kolejne połacie miasta. Na ulicach, wśród białych oparów widziałem już pierwsze sylwetki zbliżających się ryboludzi. Do tego gdzieś z oddali dobiegały przedziwne odgłosy, jakby ktoś uderzał w olbrzymi bęben. Zdawało mi się, że ziemia pod moimi nogami drży i porusza się. Pies wyrwał się do przodu i wpadł w mgłę, a po chwili usłyszałem trzask i bolesny skowyt.



Ryboludzi było coraz więcej, widziałem ich sylwetki rysujące się wśród mgły. Dźwięki bębna przybierały na sile. Dudniły w głowie, powodując tępy ból.

– Chodźcie! – krzyknąłem donośnym głosem. – Nie boję się!

Uniosłem sztucer i wypaliłem w zbliżającą się postać. Usłyszałem przeraźliwy skrzek, który drażnił uszy i wywoływał dreszcze.

– Chodźcie! – Przeładowałem sztucer, a kiedy spojrzałem przed siebie dostrzegłem okalającą mnie z każdej strony mgłę, a także obezwładniający chłód i wwiercający się w nozdrza rybi odór. Ostatnim co dostrzegłem były otaczające mnie błoniaste łapy, z zakrzywionymi szponami. Usłyszałem również słowa, w tajemniczym nieznanym mi języku, którym porozumiewały się istoty.

Potem był już tylko ból.



Krystian Kieś: Horror na poddaszu

Był zimny październikowy wieczór. Mgła powoli otulała słabo oświetloną ulicę pewnego przemysłowego miasta. Wiatr raz po raz odzywał się w posępnym powiewie, wzbijając liście w powietrze. Po chodniku szybkim krokiem szedł mężczyzna w średnim wieku. Ubrany był w szary, długi płaszcz, rozwiewany przez podmuchy chłodnego powietrza. Kapelusz nasunięty na czoło przysłaniał jego rozbiegane oczy. W prawej ręce mocno ścisnął zawiniątko. Spieszył się. Co jakiś czas rozglądał się podejrzliwie wokoło. Miał nadzieję, że szybko dojdzie do bram kamienicy, w której mieszkał. A tam będzie już bezpieczny.

Nagle przystanął. Zdawało mu się, że kątem oka coś zauważył. Trwożliwie się rozejrzał, ale nie dostrzegł nic, oprócz gęstej mgły. Musiało mu się przywidzieć – pomyślał i szybkim ruchem ręki przetarł spoconą twarz.

Był podenerwowany. Odetchnął głęboko i ruszył przed siebie, przyspieszając kroku.

Przed bramą wejściową przystanął. Był już pewien, że nikt go nie śledził. Otworzył drzwi i bez wahania wszedł do środka. Znalazł się w długim korytarzu, prowadzącym na wewnętrzne podwórze. Skręcił w stronę schodów. Mieszkał tu już długi czas i niejednokrotnie zdarzało mu się wracać po nocy. Doskonale znał drogę do swojego mieszkania ulokowanego na poddaszu.

Po kilkudziesięciu stopniach stanął przed drzwiami, na których wisiała tabliczka z numerem sześć. Poszperał dłonią w kieszeni i wyciągnął klucz. Przekręciwszy dwa razy, pchnął drzwi, które z lekkim skrzypieniem otworzyły się,

Wszedł do środka. Tu już był bezpieczny. Był w swoim mieszkaniu, choć raczej rzec można – pokoju, z niewielką, wydzieloną częścią kuchenną i łazienką. Po prawej stronie, tuż pod ścianą, znajdowało się łóżko. Na wprost drzwi widniało podwójne drewniane okno, a pod nim stał niewielki stolik ze świecą.



W mieszkaniu panował bałagan. Mężczyźnie to nie przeszkadzało. Nie należał do ludzi przesadnie dbających o porządek.

Podszedł do stolika i położył na nim pakunek. Chwilę potem zdjął płaszcz i kapelusz, które niedbale rzucił na łóżko. Podniósł zapalki, by po chwili rozpaścić świecę.

Delikatnie, z największą ostrożnością rozwinął zawiniątko. Spośród szmat wyłoniła się księga oprawiona w skórę. Mężczyzna czuł, jak ciarki przechodzą po jego plecach. Wreszcie mógł nacieszyć się swoją zdobyczą. Tak długo zabiegał, by ta pozycja wreszcie znalazła się w jego rękach.

Kilka dni temu do biblioteki, w której pracował, przyjechała ciężarówka wypełniona książkami. Uczelnia dostała je jako podarunek od pewnego bogatego człowieka, który zapisał swój księgozbiór właśnie im. Wśród wielu tytułów, znalazł ten jeden, upragniony. Dzisiejszego wieczoru wreszcie zebrał się na odwagę, aby skraść książkę leżącą na wyciągnięcie rąk. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy jej zniknięcia.

Uśmiechnąwszy się, przetarł wierzchem dłoni księgę i delikatnie ją otworzył. Jego oczom ukazał się tytuł owego woluminu. „Necronomicon” – dzieło szalonego araba Abdula Al-hazreda. Przekład łaciński nie przeszkadzał. Bogu dzięki, że mężczyzna poświęcił kilka lat młodości, aby biegle opanować ten język.

Od wielu lat słyszał pogłoski, że dzięki księdze może zdobyć władzę i pieniądze. Nie tego jednak pożywał. Szukał bowiem drogi do zdobycia nieśmiertelności. Tego pragnął i tej idei podporządkował całe swoje dotychczasowe życie. Cieszył się niczym małe dziecko, że oto nadszedł kres jego poszukiwaniom. Że tej nocy, właśnie on – profesor Braun – osiągnie to, czego wielu ludzi przed nim poszukiwało.

Miały godziny, świece wypalały się jedna po drugiej, lecz Braun nie był nawet bliski odnalezienia jakichkolwiek wskazówek, które przybliżyłyby go do celu. Pochylony nad księgą nawet nie zauważył, kiedy wiatr za oknem przybrał na sile.



Po kolejnych kilkunastu stronicach wreszcie natrafił na coś, co znów obudziło w nim nadzieję. Natknął się on bowiem na pewną formułę, której opis był po części w języku greckim. Języku, którego nie znał. Udało mu się jednak wyłapać znaczenie pojedynczych słów: przyzwanie, przejście, wymiar, śmierć. Te słowa zaczęły krążyć po jego głowie. Czyżby to było to, czego szukał? Rozwahał w myślach taką możliwość.

Poprawił okulary, po czym z uwagą rozpoczął czytanie tekstu. Na początku szło dość opornie – profesor pierwszy raz w życiu widział taki język. Nie rozumiał ani słowa z wypowiedzianych sentencji, lecz czuł podświadomie, że to jest właśnie to czego szukał.

Tekst zapisany był w kilkunastu wierszach. Z trudem udało mu się je odczytać. Gdy skończył, podniósł głowę do góry i rozejrzał się po pokoju. Nic się nie zmieniło. Wszystko pozostawało takie same.

Prawdopodobnie sposób, w jaki przeczytał wersy, był nieodpowiedni. Doktor Braun westchnął głęboko i pochyliwszy się ponownie nad księgą, rozpoczął czytanie tekstu od nowa. Tym razem starał się, by wypowiedziane słowa brzmiały poprawnie.

Gdy był przy drugiej linijce, coś uległo zmianie. Za oknem wiatr począł wyc głośniejszą niż dotychczas. Profesor zaczął wypowiadać słowa inkantacji szybciej i bardziej stanowczo.

Kiedy skończył poczuł chłód. Powoli podniósł głowę i spojrzał przed siebie, wprost na wielkie okno.

Nagle wiatr zerwał się a pod jego mocą zamek trzymający okiennice nie wytrzymał i okna otworzyły się z hukiem. Zimny podmuch wdarł się do pokoju gasząc palącą się świecę. Stronice książki szalały w rytm powietrza. Zaległa ciemność. Braun – zaskoczony i wykończony – aż zadrżał z niepokoju. Jego oczy bardzo powoli przyzwyczajały się do braku oświetlenia. Powoli wstał i drobnymi



krokami, z wyciągniętymi przed siebie rękoma, ruszył w kierunku otwartego na oścież okna.

Wymacał klamkę i napał całym ciałem na okiennice, by je zamknąć. Wiatr wdzierający się do pomieszczenia nie dawał za wygraną. Włosy na głowie mężczyzny pod wpływem przepływającego powietrza, tańczyły raz w jedną raz w drugą stronę.

Profesor użył całej siły, aby zamknąć skrzydła, ale im bardziej się starał, tym trudniej mu szło. Wreszcie – po wielu wycieńczających próbach – udało mu się wreszcie sprawić, by obie części zwały się ze sobą. Oparł się o nie i szybkim ruchem zatrzasnął zamek.

Zdał sobie wtedy sprawę, że nie widzi żadnego światła. Przecież jeszcze przed chwilą, mimo mgły, widział blask ulicznych latarni...

Teraz spoglądała na niego tylko bezkresna czerń.

Odwrócił się w kierunku stolika. Oczy przyzwyczyły się do ciemności i profesor dostrzegł zarys mebla. Zrobił pierwszy krok, potem następny. Na jeszcze kolejnym poczuł, jak podłoga zaczyna wibrować. Z początku delikatnie, lecz z każdą chwilą drżenie było coraz bardziej odczuwalne. Wkrótce wibrowało wszystko wokół niego – podłoga, ściany a nawet sufit. Słyszał skrzypienie pracującego i ocierającego się o siebie drewna.

Wtem wszystko ucichło. Nastąpiła absolutna cisza w półmroku.

Już miał ruszyć do stolika, gdy nagle coś przykuło jego uwagę. Na podłodze dostrzegł promień wprawdzie jasnego, a po chwili migającego, błękitnego światła. Spojrzał na okno i zamarł w bezruchu.

Tam, gdzie była tylko ciemność, teraz widać było jasne błękitne światło wpadające przez szyby do pomieszczenia. Błękit pulsował, jakby nagle zmaterializował się w wodę. Braun podszedł do szyby. Światło tańczyło, płynęło, przelewało się od prawej do lewej. W pewnym momencie ujrzał niewielkich



rozmiarów coś co wyglądało jak... meduza. Jej całe ciało emanowało błękitną poświatę. Gdy zbliżyło się do szyby, za którą stał mężczyzna, poczęło migotać i zmieniać kolory.

Ujrzał kolejne istoty, które zachowywały się podobnie do tej pierwszej. Profesor rozchylił usta i chciał coś powiedzieć, ale poczuł, jak brakuje mu języka w gardle.

Jedna z tych „meduz” podpłynęła do okna i dotknęła małymi mackami szybę, by po chwili przeniknąć przez nią. Zaskoczony Braun cofnął się. Kolejne stworzenia przekraczały szklaną granicę. Rozpierzchły się po całym pomieszczeniu, pozostawiając za sobą mieniący się różnymi kolorami pył.

Mężczyzna wyciągnął drżącą dłoń w stronę jednego z tych stworzeń, które było najbliżej. Próbował je dotknąć, lecz palce przeszły tylko puste powietrze.

I wtedy rozległ się ryk tak potężny, że Braun podskoczył. Szyby zadrżały. Mężczyzna zwrócił twarz w kierunku okna i zamarł. Za nim, w błękitnej poświacie, było coś jeszcze. Coś wielkiego przemieszczało się tam. Coś, na widok czego po plecach profesora przeszły ciarki.

Za szybą dostrzegł wielkie oko. Potem kolejne i jeszcze jedno. Po chwili widział już nie jedno, a setki oczu wpatrzone w zastygłego w przerażeniu człowieka.

Z otwartych ust profesora wydobył się tylko cichy jęk, który narastał, by przerodzić się w jeden głośny krzyk przerażenia. W tym momencie przez szkło przedostały się ogromne, obrzydliwe długie i wijące się macki. Ciasno owinęły się wokół ciała wrzeszczącego mężczyzny i jednym mocnym szarpnięciem pociągnęły go do siebie.

W pokoju zapanowała ciemność.

Rankiem, gdy słońce przebiło się przez warstwę chmur, pierwsze promienie oświetliły kamienicę. Światło wdarło się przez zakurzoną szybę do środka. W pomieszczeniu nie było żywej duszy. W powietrzu unosił się delikatny, różnokolorowy pył. Na stole, wraz z połowicznie wypaloną świecą, leżała otwarta



księga z nową kartą, na której widniał rysunek wielkiego monstrum o setkach oczu i wielu paskudnych, wijących się mackach. Pod obrazem widniał napis:

Shoggoth.



Wojciech Konieczny: Miasto nienasycone

Mówili mi nie jedź tam, tam nic nie ma, tylko mrok i zatracenie, mówili nie jedź tam, bo nigdy już stamtąd nie wrócisz, to miasto cię wchłonie, pożre i wypluje, niczego tam nie ma, tylko śmierć i groza, przy której odejście z tego świata może być wybawieniem.

Ale nie posłuchałem. Jak zawsze. Bo kto słuchałby takich ostrzeżeń? Mówili mi, że to miasto tak naprawdę nie istnieje, że wszystko to tylko dekoracje i scenografia, żeby zmylić przybyszów z zewnątrz. Muszę przyznać, że miałem takie podejrzenia za każdym razem, gdy pociąg zatrzymywał się na stacji Piła Główna, a ja z ciekawości wyglądałem przez okno i patrzyłem na ludzi na peronie. Jeździłem przez Piłę regularnie, jadąc z Poznania do Koszalina albo odwrotnie. Nigdy jednak nie miałem powodów, by wysiąść. Przez te wszystkie lata Piła stała się dla mnie miastem na trasie, nazwą w rozkładzie, punktem w atlasie, ale nie realnym miejscem. Nie znałem nikogo stamtąd, nie znałem nikogo, kto by tam pojechał i wrócił, by opowiedzieć o swojej wyprawie, nie spotkałem nikogo, kto w ogóle rozpatrywałby pomysł udania się do tego miasta, albo nawet znał kogoś, kto tam mieszka, uczy się, pracuje, ma stamtąd dziewczynę lub chłopaka.

Gdy teraz o tym myślę przypominam sobie te wszystkie momenty obserwowania ludzi wsiadających i wysiadających w Pile do pociągu. Coś było z nimi wszystkimi nie tak. Ci, którzy wysiadali, wykonywali dziwne ruchy, jakby byli... nakręceni (wiem, brzmi to absurdalnie, wtedy tak nie myślałem, wtedy w ogóle nie myślałem, ale teraz mogę to określić tylko w taki sposób, ach, gdybym wtedy choć na chwilę się nad tym zastanowił, ale jest już za późno, na wszystko jest za późno, zawsze jest za późno...).

Z kolei ci, którzy wsiadali, jakby rozplýwali się w pociągu – nigdy nie widziałem ich wsiadających do mojego przedziału, stojących w kolejce do toalety, wysiadających na innej stacji. Nie żebym to jakoś świadomie śledził czy



rejestrował, ale teraz gdy o tym myślę, to tak to właśnie było. Przynajmniej tak mi się wydaje, ale niczemu nie mogę już ufać, nawet sobie. W końcu jednak jakaś szaleńcza ciekawość pchnęła mnie do tego, aby wsiąść do pociągu i wysiąść w Pile. Musiałem sprawdzić, czy moje niejasne i – przyznacie sami – absurdalne podejrzenia, że coś dziwnego się tam dzieje, mają choć ziarnko prawdy w sobie.

Gdy powiedziałem o tym mojemu przyjacielowi puknął się znacząco w czoło i chciał coś powiedzieć, ale tylko westchnął. Jakbym właśnie przyznał się do tego, że najbliższe wakacje zamierzam spędzić na Antarktydzie.

A jednak pojechałem.

Szczecinek, Okonek, Jastrowie. Już niedaleko. Znałem tę trasę na pamięć, wszystkie te wioski i perony gdzieś w polu, na których nikt nie wysiadał ani wsiadał (czekałem tylko, aż do pociągu wskoczy jakiś królik, ale nawet one tam nie mieszkały).

Wreszcie Piła. Czułem dziwne podekscytowanie, może nawet zdenerwowanie, jakbym przeczuwał, że coś się wydarzy. Pociąg zatrzymał się jak zawsze. Z głośników dobiegł bełkotliwy głos mówiący o tym, że taki a taki pociąg przyjechał i że zaraz odjedzie i lepiej się pospieszyć. A potem usłyszałem coś, co – dałbym głowę! - zabrzmiało jak „wsiadaj z powrotem, póki jeszcze możesz”, powiedziane tym samym bełkotliwym głosem lektora zapowiadającego pociągi, ale wtedy pomyślałem, że musiałem się przestyszeć, że to przecież niemożliwe, poza tym chyba ktoś jeszcze zwróciłby na to uwagę. Tymczasem pasażerowie jak gdyby nigdy nic wsiadali i wysiadali. Może było ich tylko trochę mniej niż zwykle, ale nie zauważyłem czegoś szczególnie niepokojącego. Może tylko jeden człowiek, który właśnie wskakiwał do pobliskiego wagonu wyglądał...

Tak, wyglądał dokładnie tak, jak ten, którego widziałem ostatnio! I... poprzednim razem. I...



Właśnie zdałem sobie sprawę, że widziałem go chyba ZA KAŻDYM RAZEM, gdy pociąg zatrzymywał się w Pile. Ale... przecież to tak naprawdę nic dziwnego, prawda?

Wtedy pociąg ruszył. Poczulem dziwne ukłucie w podbrzuszu, jakby coś przeszło mnie na wylot (jak pies, pomyślałem sam nie wiem czemu i nie pamiętając, z czym mi się to kojarzy) i już chciałem zawrócić, wsiąść z powrotem i pojechać dalej, do Poznania, gdziekolwiek, byle nie zostać tu, bo miało się wydarzyć coś strasznego, sam nie wiem, nie byłem sobie w stanie nawet wyobrazić co, po prostu poczułem, że nie powinno mnie tu być, ale było już za późno, bo zawsze jest już za późno...

Pociąg ruszył, konduktor wychylający z wagonu spojrział na mnie z... politowaniem (a może odrazą?) i poruszył bezgłośnie wargami, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale nie mógł, a ja nie byłem w stanie odczytać słów, równie dobrze mogło to być „żegnaj”, „uciekaj” albo „mleka daj”. Zachciało mi się płakać. Z całych sił, jak w czasach, gdy byłem dzieckiem i szloch nie był niczym wstydliwym, a potrafił uleczyć z największych trosk. Ale nie mogłem, bo oczy miałem potwornie suche, jakbym wszystkie łzy swojego życia już wypłakał i nie została mi ani jedna.

I wtedy w szybie ostatniego wagonu zobaczyłem dziewczynkę. Mogła mieć siedem-osiem lat. Wyglądała jakby urwała się z planu „Wywiadu z wampirem” (wiem, brzmi to idiotycznie, ale – TAK WŁAŚNIE WYGLĄDAŁA!). Pomachała mi tak, jak macha się komuś, kogo ma się już nigdy nie zobaczyć i na brudnej szybie narysowała coś, co mogło być czaszką, ale mogło też być kwiatkiem.

Ile bym dał, żeby to był kwiatek...

Pociąg odjechał, a na peronie zrobiło się nagle strasznie cicho i strasznie pusto. Jakby wszyscy nagle zostali wykasowani albo wymazani. Przede mną stał potężny budynek dworca. Zawsze mi się podobał, ale był też jedynym budynkiem w mieście, który znałem.



Teraz jednak było w nim coś dziwnego, jakby... nie był do końca prawdziwy. Podeszedłem bliżej, przedzierając się przez gęstniejące powietrze (co do cholery, jakby nagle pojawiła się mgła albo okropny smog). Dookoła nikogo nie było. Dotknąłem ściany budynku. Niby wszystko było w porządku, ale... coś nie tak było z fakturą. Nie byłem w stanie tego określić, ale każdy z was zna pewnie to uczucie, gdy dotykając jakiejś rzeczy spodziewacie się określonego, znanego wam wrażenia, tymczasem natrafiacie na coś zupełnie innego. Tak było tym razem. Cofnąłem rękę i ponownie poczułem dreszcz. Odejść stąd, jak najdalej.

Coś tu jest bardzo nie tak.

Jak najszybciej opuściłem stację. Po drodze nie minąłem nikogo. Powinno mnie to jeszcze bardziej zastanowić, ale wtedy liczyło się tylko to, żeby wydostać się na jakąś ruchliwą ulicę. Tam przecież muszą być ludzie, samochody, cokolwiek, co przywróci normalność.

Nie wiem nawet kiedy znalazłem się na Alei Piastów (tak przynajmniej było napisane na tabliczce). Powinno być około godziny dziesiątej, w dodatku był chyba czerwiec (nagle zupełnie straciłem poczucie czasu), tymczasem było ponuro i zimno jak w listopadowy wieczór. To nie był smog ani mgła. Raczej... rzadka smoła? Co za bzdury, pomyślałem i brnąłem naprzód (nie nazwałbym tego marszem, szło się bowiem strasznie ciężko, jak w koszmarze, gdy próbujemy przed czymś uciec, a nogi grzęzną nam w bagnistym podłożu).

Wciąż nie spotkałem żadnego przechodnia ani samochodu. Co więcej, nie było też zwierząt, nawet liście na mijanych drzewach się nie poruszyły.

To wszystko dekoracje, usłyszałem w głowie i nagle zdałem sobie sprawę z tego, że w mijanym koszu na śmieci brakuje kawałka metalowej rury, na której był zawieszony. Nie byłoby to nic dziwnego, gdyby nie był to dolny odcinek, który powinien być wbity w ziemię, przez co cały kosz... unosił się w powietrzu. Nie miałem jednak czasu na wyrażenie zdziwienia, bo przed sobą zobaczyłem samochód, któremu brakowało całego przodu. Jakby ktoś odciął go wielką... piłą? Co za durny żart, pomyślałem i pewnie nawet zaśmiałbym się sam z siebie



gdyby nie fakt, że drogę przebiegł mi pies, który miał trzy łapy, jedno ucho i kawałek ogona, który choć nie był przyczepiony do reszty psa, to i tak machał.

Co tu się dzieje? Czy to jakieś toksyczne opary, przez które mam halucynacje? Nagle pies Frankensteina zatrzymał się i spojrzał na mnie. W jego ślepiach było coś strasznego, jakby pochodzącego z najgorszego snu, przed którym zawsze się ucieka. Warknął, obnażając zestaw zębów, które zdecydowanie nie należały do psa. Choć kilku brakowało, to i tak wystarczyłyby, żeby zrobić ze mnie siekane mięso. Nie zastanawiając się nawet chwili wskoczyłem na zaparkowany obok samochód (nic to, że nie miał dwóch kół - nie opon, tylko całych kół - ani kawałka maski) i w ostatniej chwili uniknąłem bliskiego spotkania ostrych zębów z moją stopą. Pies pewnie wskoczyłby za mną i zrobił swoje, gdyby nagle nie rozległ się potworny dźwięk, dobywający się gdzieś z końca ulicy. Pies natychmiast odbiegł w ciemność. Zszedłem na ulicę i spojrzałem przed siebie. Było widać tylko nadchodzącą ciemność. Jak na filmach, gdy powoli gasną światła w korytarzu, aż bohater pogrąży się w ostatecznym mroku. Tyle, że tym razem nie był to film, ani fikcyjna postać, tylko prawdziwy ja, w chyba coraz mniej prawdziwym już miejscu, które na mapach i rozkładzie jazdy pociągu nazywano Piłą, ale na pewno nie było nią w tej chwili.

To nie może być prawdziwe! pomyślałem, ale potworny ból, który po chwili przeszył całe moje ciało był jak najbardziej prawdziwy. Tego jednak nie miałem już nikomu powiedzieć, bo ogromna łapa, która wyłoniła się przed chwilą z ciemności i ścisnęła mnie z całej siły uniosła mnie w górę i był już tylko ból, ból który odebrał mi zmysły, a potem nie było już niczego.

Miasto pochłonęło kolejną istotę, ale myliłby się ten, kto pomyślałby, że na tym się skończy. Według rozkładu jazdy za czterdzieści minut na peron wjedzie kolejny pociąg, z którego wysiądą nowi podróżni.

Miasto jest nienasycone...



Maciej Nadolny: Upiór z horyzontu zdarzeń

Mój parszywy los od dawien dawna jest przesądzony i ja sam jako byt – bowiem nazwać siebie człowiekiem już nie mogę – przestałem snuć nadzieję na nagły zwrot akcji. Nie śmiem również liczyć na niesamowity zbiór zbiegów okoliczności, które w swym ciągu przyczynowo-skutkowym doprowadziłyby moją nieszczęsną duszę do efektu innego niż ostateczna degradacja. Nawet na spaczenie w opinii moich ciemieżców nie zasługuję. Kiedyś wprawdzie próbowałem ich przekonać, żeby dali mi szansę. Zapewniałem, iż mogę być jednym z nich, niejako niwelując winy z przeszłości. Zgłaszałem swoją kandydaturę do prac najbardziej haniebnych i zbrodniczych względem człowieczeństwa. Wszystko byle tylko nie skończyć jako bezrozumny pył pośród astralnego bezkresu zapomnianych dni. Nikt nie zrozumie potęgi nicości, póki ta nie zacznie bezczelnie skubać jego ektoplazmy atom po atomie. Jak to mówią: ”tonący brzytwy się chwyta”. Byłem gotów dołączyć do wstrętnej armii, która siłą ściągnęła mnie na dno oceanu. Skamlałem żałośnie, aby przyjęli mnie w plugawe szeregi. Na próżno jednak poszły wszelkie moje wysiłki. Nic nie działałem, a mieszkańcy głębin pozostali nieugięci w swoich bezlitosnych sądach.

Mówiąc wprost: ślad po mnie ma zagaść. Prędzej czy później, bez względu na okoliczności. Krok po kroku pozbawią mnie osobowości, wspomnień – wszystkiego! Tożsamość już mi odebrali. Skazany na degradację duszy, tkwię w klaustrofobicznej celi i podziwiam bezmiar ohydy z za krat. Każdego dnia ważę coraz mniej i nawet nie pamiętam już, za co tu trafiłem.

Jedyne, co wiem, i jedyne, na co mogę spojrzeć pozytywnie, to fakt, iż nie jestem w orbicie zainteresowań istoty, którą dzisiaj ujrzałem. Widziałem ją przez pokryte szlamem i wodorostami mury. Widzieli ją wszyscy, a zwłaszcza ci najbardziej strwożeni. Żaden mrok ani ściana nie była wszak w stanie zasłonić oblicza czegoś tak chciwego. Wyobraźcie sobie tajemniczy obłok cienia noszący płaszcz popiołu. Wyobraźcie sobie upiора mrozącego nawet koszmary.



Wyobraźcie sobie wszechmocnego żarłacza emocji o barwie lęku. Mieszkańcy głębin mrużyli rybie oczy i błagali o szybki koniec. Podobno gdzieś w czeluściach sam Dagon przebudził się ze snu i zanurkował pod martwym mułem. Upiór płynął swobodnie jak czarna meduza. Płynął w kierunku króla, ciągnąc za sobą cały korowód zniewolonych mar. Między filarami krążyły projekcje jego wcieleń, upiory młodsze, wściekłejsze, zuchwalsze – można by rzec: niegdysiejsze, a nawet przedwieczne. Były pokazem siły, uosobieniem prawdziwej armii skupionej nie wokół słońca, lecz supernowy.

Zabrzmiało to dziwnie, ale w obliczu takiego ogniska przerażenia skupionego wokół jednej istoty, potęga króla głębin budziła raczej politowanie. Stał on bezczynnie przy ołtarzu, gdzie niebawem miał dokonać inicjacji kolejnych „przepoczwarzonych”. Tego dnia muskularne ciało humanoidalnego warana nie robiło na nikim wrażenia. Jego gadzi pysk szeptał raz po raz miotał tylko jedno słowo: *shoggoth, shoggoth, shoggoth...* Rozpaczliwie błagał o ratunek sojuszników, choć tak naprawdę sam nie wierzył, aby potwory były w stanie pokonać tajemniczego najeźdźcę. Chyba bardziej chodziło mu o odwrócenie uwagi upióra, który śmiało, acz powolnie zmierzał w kierunku najwyższej postawionej jednostki w królestwie.

Nikt się wszakże nie pojawił. Król niejako posłusznie wyszedł przed ołtarz i pochylił smoczy łeb przed spodziewanym – lecz nie w takim formacie – przybyszem. Sam go wezwał – czego teraz, co prawda, gorzko żałował – używając najczarniejszej magii. Nawet w Necronomiconie nie ma takich zaklęć. W teorii monarcha chciał zatrudnić tropiciela zdolnego do odnalezienia pewnego dezertera z Innsmouth. Liczył na szybkie sprowadzenie mężczyzny do korzeni istnienia i zapewnienia mu żywota wiecznego, ponieważ tak nakazywała tradycja – choć jak się zaraz miałem przekonać, dla niektórych sił nieśmiertelność po prostu nie istnieje.

Tak czy owak władca musiał stanąć oko w oko, z czymś, czego siły absolutnie nie docenił. Wcześniej sądził, że shoggothy, Dagon bądź Hydra nie pozwolą na akty samowoli wysłannikom wyższych Bogów. To mieli być typowi najemnicy,



tymczasowi agenci przeznaczeni do osiągnięcia konkretnych celów. Okazało się jednak, iż igra z czymś znacznie potężniejszym. Obłok mroku w popiele zatoczył krąg czymś na wzór ręki, sterując bezrozumną już głową króla. Najwyraźniej chciał, aby ten spojrział na niego z bliska. Dopiero wtedy zdecydował przemówić do plugawego ludu.

– Ahram exa libretta, hatigczdzu. – Głos pozbawiony życia i litości.

Król podwodnego miasta stracił przytomność, usłyszawszy ową sekwencję słów. Osunął się wprost na tajemniczego rozmówcę, który nie złapał i nie przytrzymał ciała jaszczurzego monarchy, ani nawet go nie uniknął. Uwierzcie mi, to naprawdę okropne. Oblicze władcy podwodnego królestwa dosłownie utonęło w widmowym konturze postaci. Upiór pochłoniął nieszczęśnika, zupełnie jakby był chodzącą czarną dziurą.

A może tak w istocie było?

– Mój Pan jest większy niż bóstwa czczone przez wasze bóstwa, a ja jestem stworzony do wyższych celów niż tropienie niedoszłych adeptów tego sennego miasteczka. Niechaj to będzie dla was nauczka. Zrodzonych w horyzoncie zdarzeń nie wolno fatygować zbyt pochopnie. Mój Pan nie ingeruję w moje metody oraz potrzeby. – To rzekłszy szokująco ludzkim głosem, upiór dał znak swoim klonom i demonom do ataku, a dla nich właściwie do harców.

Rozpoczął się dziki płas. Hordy złych duchów dosłownie rozerwały na strzępy połowę populacji mieszkańców głębin. Nawet mi, żalosnej ofierze ich występków, ciężko było patrzeć na beznadziejny los moich oprawców. Przypominali małe myszki w szponach tygrysów, które wcale nie są głodne, lecz w gruncie rzeczy pragną się tylko pobawić. Problem w tym, że są zbyt potężne.

– Wystarczy! – krzyknął upiór. – Ruszamy dalej, czas wyjść na powierzchnie – zdecydował stanowczo.

Demony w jednej sekundzie zaprzestały dzieła zniszczenia. Zerknęły na cień w popiele, najdoskonalszą formę upiora, skłoniły się reszcie przerażonych



obserwatorów, po czym eksplodowały miliardami pęcherzyków powietrza. Bańki popłynęły ku górze. Sam upiór zaś powolnie za nimi podążył, przenikając przez kolejne kondygnacje świątyni.

Miałem to szczęście, że więźniowie i męczennicy zostali przez zmorę kompletnie zignorowani.

Dziennik Clifforda Packstona/Jaydana Marsha

13.07.2023 r Arkham, Massachusetts

Czuję, że ten dzień będzie moim ostatnim. Zabunkrowałem się w obskurnym motelu na obrzeżach miasta bliskiego miejscu, z którego naprawdę pochodzę. Bóg mi świadkiem, że chciałem inaczej, lecz ilekroć przychodziło do skrzyżowania w interesujący mnie sektor, na swej drodze napotykałem gęstą mgłę, nietypową, bo przypominającą warstwę pyłu wulkanicznego. Mało tego, wzdłuż wspomnianych ulic wysiadały wszystkie latarnie nocne, co czyniło je nocą niemal nieprzejezdnymi. Jako że czasu do namysłu nie pozostawało mi za wiele, ponieważ czułem na sobie oddech czegoś jeszcze bardziej niesamowitego niż prawda o moim haniebnym rodzie, decyzje podejmowałem szybko. Tak oto sterowany niewidzialną siłą wylądowałem właśnie w okolicach Innsmouth, czego rzecz jasna nie zaplanowałem. Wcześniej ilekroć obracałem głowę, widziałem tylko cienie tańczące na granatowym gwieździstym niebie.

Niezliczone domy, mieszkania, hotele, zmiany imion i nazwisk, dziesiątki operacji plastycznych – wszystko na nic! I tak zagnało mnie w rodzinne rewiry. Jestem przekonany, że znowu wpadli na mój trop. Cały czas noszę golf, dużo za duży, po to żebym mógł przykryć skrzela – tego jednak nikt by mi nie usunął, czy choćby skorygował. Nie chcę się zdemaskować. Nikt nie może mnie powiązać z Innsmouth, a tym bardziej z rodziną Marshów. Noszę soczewki, które, owszem, wyróżniają mnie z tłumu intensywnością barwy, ale przynajmniej odciągają uwagę od wyłupiastych, coraz bardziej rybich oczu.



Duszo mi. Skład chemiczny powietrza powoduje słabości i zawroty głowy. Z dnia na dzień jestem coraz bliżej krawędzi. Nie lękam się jednak śmierci, lękam się życia wiecznego na dnie oceanu. Właściwie gdyby nie opowieści, zasłyszane od pewnego sędziwego badacza, którego darzę zaufaniem bezgranicznym, już dawno sam odebrałbym sobie życie. Uwolniłbym się w ten sposób od widma Innsmouth. Niestety los samobójców spoczywa w dłoniach bogów okrutniejszych niż ci nam znani. Nikt tego nie udokumentował, lecz kilka zakazanych pieśni o tym traktuje między szyframi.

Pozostało mi więc tylko uciekać i przedłużać cykl maskarady, w której tkwię, od kiedy dorosłem. A dorosłem dopiero wówczas, kiedy poznałem prawdę. Jestem już tym naprawdę zmęczony. Walka o człowieczeństwo nie powinna trwać tak długo.

Gałka motelowych drzwi do mojego „budżetowego apartamentu” drgnęła. Choć intensywnie nasłuchiwałem kroków, nie usłyszałem nawet delikatnego skrzypnięcia deski. Sam natomiast powolnie wysunąłem się spod kołdry i na paluszkach ruszyłem w stronę okna, jedynej drogi ucieczki. Mimo rezygnacji trybem życia, jakie wiodłem – to jest uciekiniera – trwoga zagościła w moim ledwie już pompującym krew sercu. Czułem obecność tropiciela innego niż poprzedni. W zasadzie miałem nieodparte wrażenie, że ten zna każdą mą myśl, a wszelka materia czy podstęp nie stanowią dla niego żadnej przeszkody. Dopadnie mnie tak czy owak, niezależnie co uczynię.

Tajemniczy świst wpuszczający ohydne opary spod nieszczęlnych drzwi pozbawił złudzeń. Wie, że tu jestem. Zrobiło się cholernie zimno, wręcz lodowato. Gałka ponownie została wprawiona w ruch, powoli i równomiernie przekręciła się do momentu zwalniającego blokadę. Na szczęście zamknąłem wcześniej drzwi na klucz, co dało mi trochę czasu. Natychmiast powziąłem zamiar brawurowej ucieczki przez okno. Pierwsze piętro to jeszcze nie tak wysoko, pomyślałem.



Odwrociłem się z powrotem do okna. Ku mojemu przerażeniu szyby w całości pokrył pancierz lodu. Zgodnie z przypuszczeniami futryny przymarzły i nie byłem już w stanie ich otworzyć.

To koniec!

Zamek ustąpił dyskretnie, a ja zamknąłem oczy, lecz wciąż widziałem. Do pokoju wlało się morze mroku, inaczej tego określić nie potrafię.





ISBN 978-83-970942-0-8



9 788397 094208